

Styk

Białystok, nr 3 (24) czerwiec 1994 r.

indeks 353108

miesięcznik

5000 zł

Kultura i nie tylko



- Nawet policja nie jest potrzebna
- Lance do boju
- Uwodzicielskie spojrzenie
- Biznes test
- Oryginalna lekcja historii



K. FALKOWSKI

Naciąganie na krótką spódniczkę

Gumisie z okienka

Za nasze pieniądze udał się pan premier (a z nim Krewni i Znajomi Królika) na obchody 50 rocznicy bitwy pod Monte Cassino. Symbolu polskiego bohaterstwa. Jednej z polskich legend żyjących w historii, literaturze i pieśni. Jednak ci, którzy tam już raz byli - pięćdziesiąt lat temu - nie załapali się na rządową wycieczkę. Musieli za ekskursję zapłacić, a na tych co nie mieli czym - trzeba było zrobić zrzutkę. To poniekąd logiczne; gdyby za budżetowe pieniądze wysłać kombatanatów, a na wyjazd Pawlaka organizować ściepki - nie uzbierał by na kostur podróżny.

Taka gmina

Z Andrzejem Sutkowskim
wójtem gminy Sidra
rozmawia Anna Kowalska

Jak długo jest pan wójtem?

Cztery lata.

Co przez ten czas udało się panu osiągnąć?

Wszystko, a nawet więcej.

NIEDALEKO OD SZOSY

fot. Pete-foto





TAKA GMINA cd.

Nie miałem właściwie jakichś konkretnych zamierzeń zanim objąłem to stanowisko, ale powoli zadania zaczęły się same krystalizować. Zrobiłem prawie trzydzieści kilometrów dróg zwirowych. Wyasfaltowałem dwa odcinki - ulicę Kościelną, która jest wyzytówką Sidry i położoną obok ulicę Kuźmy. Co jeszcze?... Na terenie gminy, przy skromnych finansach, udało się wybudować siedemnaście kilometrów wodociągu, natomiast w samej Sidrze został on rozbudowany. Dzięki temu do pięciu wsi doprowadzono wodę. W tej chwili prace wodociągowe prowadzone są nadal.

W ubiegłym roku powołałem Gospodarkę Komunalną - zakład budżetowy, który istnieje przy Urzędzie Gminy. Zrobiłem to z myślą o różnego rodzaju pracach porządkowych. Udało mi się kupić trochę sprzętu potrzebnego gminie: dwie koparki, spycharkę, dwa ciągniki z przyczepami, przyczepę asenizacyjną...

A co to takiego?

Specjalna przyczepa do wywozu nieczystości. Kupiliśmy też autobus, bo miała być zmiana obwodów szkolnych. Dzięki niektórym ludziom to nie nastąpiło i na razie autobus stoi nieużywany.

Poza tym w ubiegłym roku uruchomiłem sprzedaż oleju napędowego i olejów smarnych. Korzyści z tego duże, bo niektórzy kupują nawet po pięć, siedem litrów, co przy obecnym stanie kasy rolników stanowi duże udogodnienie.

Dwa lata temu, z inicjatywy sokólskiego koła AK i jego oddziału w Sidrze, postawiliśmy przy kościele pomnik poległym w latach 1918-21 i 1939-89. Od tamtej pory nie za bardzo się z księdzem kochamy.

Z powodu pomnika?

Z powodu skąpstwa. Nie zgodziłem się na to, aby przyjęcie gości których zaprosił ksiądz, odbyło się na koszt gminy. No i zostałem wrogiem. Co zrobić, wszystkim się nie dogodzi...

Co jeszcze zmieniło się w Sidrze za pańskich rządów?

Na pewno wygląd Sidry, bo położyliśmy chodniki na wielu ulicach. Sporo też pomagam szkołom - zakupiłem telewizory, magnetowidy, magnetofony. Jako pierwszy bodajże w województwie wybudowałem dwa lata temu asfaltowy kort tenisowy. Kosztowało mnie to dosyć sporo jak na tamte lata, ale warto było. Po mnie koledzy wójtowie z sąsiednich gmin podchwycili pomysł.

Widziałam pracowników wokół basenu.

Tak, rzeczywiście remontujemy w tej chwili basen. Robimy to co roku, ale w tym roku basen wymagał już właściwie kapitalnego remontu.

Natomiast swoją kadencję chcę zakończyć w sposób nie tylko uroczysty, ale też znaczący. Tak, żeby inni - ci, co będą po mnie - mieli dobry przykład. Otóż chcę jeszcze przed końcem roku szkolnego uruchomić w Sidrze szkolną pracownię komputerową. Zależy mi na tym, żeby dzieci ze wsi nie były gorsze od tych z miast, żeby miały takie same lub przynajmniej podobne warunki.

Jak ocenia pan swoją działalność, czy zrobił pan dużo w ciągu tych czterech lat?

Nie umiem i nie lubię sam siebie oceniać. Lepiej niech mnie oceniają inni. Ja w takich sytuacjach mówię zawsze, że można było więcej.

Czy istnieją jakieś przedsięwzięcia, których pan nie dokończył w czasie swojej kadencji?

Gdyby moja kadencja jeszcze potrwała... Sidrze potrzebna jest oczyszczalnia ścieków. To jest problem palący, jeśli chcemy żyć w czystym środowisku. Ta gmina nie ma szans na przemysł, trzeba tutaj

stawiać na turystykę. Należałoby więc wybudować przynajmniej kemping nad zalewem.

Kolejny bolący problem - bezrobocie. Trzeba by było tym ludziom pomóc w jakiś sposób. W tym roku udało mi się dzięki różnym zabiegom zatrudnić 33 osoby z funduszu interwencyjnego. Ja wiem, że to nie jest sposób na rozwiązanie problemu bezrobocia; tu trzeba szukać rozwiązań długofalowych. Ale to zależy od polityki na szczeblu kraju, a nie tylko gminy.

Większość ludzi w pana gminie zajmuje się rolnictwem.

Tak, ponad 90% to rolnicy. Mam taki pomysł, który chodzi mi po głowie od pewnego czasu. Jak każdy pomysł - na początku wydaje się mało realny, ale może kiedyś uda się go zrealizować. Chciałbym namówić sąsiednich wójtów, żebyśmy wspólnie wybudowali lub zaadaptowali jakieś budynki i uruchomili przetwórstwo ziemniaków.

Skąd taki pomysł?

Po Mońkach - właśnie Sidra i Nowy Dwór są białostockim "zagłębiem ziemniaczanym". Gdyby to się udało - sporo ludzi znalazłoby zatrudnienie, a rolnicy zyskaliby perspektywy dla swojej pracy. Mogło by to być przedsięwzięcie dla dwóch, nawet trzech gmin. Coś z tych ziemniaków trzeba robić, bo pszenicy na naszych ziemiach dużo się nie urodzi.

Jak się panu współpracuje z Radą Gminy?

Mówiąc szczerze - były wzloty i upadki. Nie powiem, że udało mi się przez to wszystko przejść bezboleśnie, ale jakoś się dotarliśmy.

Co panu zarzucają?

To nawet trudno nazwać zarzutami; po prostu szuka się dziury w całym. Na przykład: w ubiegłym roku podczas budowy wodociągu skradziono dwie rury wartości 480 tysięcy złotych. Już następnego dnia dowiedziałem się, kto je skradł, ale koszt odzyskania tych rur był wyższy niż ich wartość - jedna pojechała do Siedlec, a druga wylądowała na terenie Janowa. Gdybym wysłał po nie ciągnik, kosztowałoby to dużo drożej niż gdybym je ponownie kupił. Tutejsza policja natomiast urządziła akcję - poszukiwania trwały dwa tygodnie, no i zrobiła się z tego afera, bo trzeba było później rozliczyć koszty tej akcji. Zresztą nie wybudowałbym tak długiego wodociągu, gdybym nie zaryzykował. Nie będę już opowiadał szczegółów, ale dzięki temu, że właśnie zaryzykowałem, udało mi się zaoszczędzić sporo

Nawet policja

pieniędzy przy kupowaniu materiałów. W rezultacie tych moich działań zamiast planowanych siedmiu, ośmiu kilometrów wodociągu - wybudowałem siedemnaście! Mimo wszystko nie unikałem różnych pomówień, które spowodowały naślanie na mnie dziennikarza z "Gazety Współczesnej". Musiałem się mu tłumaczyć, co zrobiłem i dlaczego...

Pan jest z zawodu weterynarzem. Czy nie wolałby pan wrócić do zawodu?

Na pewno jest to spokojniejsze zajęcie: robisz swoje i do domu. Ale teraz ... chyba już nie. Lubię to, co robię.

A co na to pańska rodzina?

Rodzina już się przyzwyczaiła, że ciągle mnie nie ma, że bez przerwy jestem zajęty. Zresztą taki już mam charakter, że trudno mnie w domu utrzymać.

Czy dlatego właśnie zdecydował się pan na ponowne kandydowanie?

Cóż... gdyby wśród tych, którzy przymierzają się do tego urzędu, były osoby gwarantujące Sidrze rozwój - to bym się pod tym podpisał rękami i nogami, i zrezygnował. Ale znając tych ludzi wiem, że powstałby tutaj prywatny folwark, że Sidra nie poszłaby do przodu.

Prowadzi pan w jakiś sposób swoją kampanię wyborczą?

Kampania to chyba za duże słowo. Ale trudno siedzieć z założonymi rękoma, więc rozmawia się z ludźmi. Tylko że ja się nie nadaję do reklamowania siebie. Tak naprawdę potrafię jedno - działać - bo uważam, że to co robię najlepiej świadczy o mnie. To ludzie mają ocenić - robię dobrze czy źle.

Gdyby pan był czarodziejem, który może wszystko - jak wyglądałaby pana gmina?

Gdybym był czarodziejem... Na pewno wszystkie drogi byłyby asfaltowe, a woda i gaz znajdowałyby się w każdej zagrodzie. Poza tym na naszym odcinku rzeki wybudowałbym trzy, cztery hydroelektrownie. Wtedy niepotrzebny jest węgiel, a lasy zostają na swoim miejscu. Z pewnością postawiłbym sport na wysokim poziomie, bo lepiej wydać dwa złote na sport niż później złotówkę na leczenie. W odpowiedni sposób wyposażylibym szkoły, biblioteki... Ale to są mrzonki, a ja jestem realistą i nie chcę za dużo obiecywać.

Wierzy pan, że te mrzonki zostaną zrealizowane?

Może kiedyś. Zobaczymy, co dalej życie przyniesie.

Jedną z atrakcyjniejszych miejscowości w województwie białostockim jest Sidra. Niewielka ta wieś była dawniej miastem. Położona na urozmaiconym terenie, wśród polodowcowych wzniesień, na prawym wyższym brzegu rzeczki o tej samej nazwie. Odległość od Sokółki wynosi 17 km; dojazd koleją lub szosą.

To chyba najprzyjemniejsza pora roku. Zieleń trawy przetykana żółcią mleczków, biało i różowo kwitnące drzewa w sadach, na horyzoncie to jaśniejsza to ciemniejsza plama lasu. Droga do Sidry wiję się łagodnymi zakolami. Wjeżdżamy na wzniesienie, po obu stronach drewniane domki zatopione w zieleni - jesteśmy w Sidrze.

Powstanie Sidry wiąże się z kolonizacją puszczy Nowodworskiej i Kuźnickiej oraz posuwaniem się osadnictwa od strony Grodna. Przed 1536 rokiem Łukasz i Jan Wołłowiczowie otrzymali nadanie 4 wiorst kwadratowych tych puszczy. Wówczas założyli wsie Pawłowicze i Sidra. W 1566 roku właściciel Sidry starosta mohylowski, kasztelan trocki i podkomorzy litewski - Eustachy Wołłowicz otrzymał od Zygmunta Augusta przywilej na mocy którego dotychczasowa wieś otrzymała prawa miejskie i targowe oraz zezwolenie na budowę karczmy. W tym czasie założono duży rynek z odchodzącymi od niego ulicami.

Zatrzymujemy się przed kompleksem budynków, w których mieści się apteka, poczta, Ochotnicza Straż Pożarna, Rada Gminy i Gminny Ośrodek Kultury.

W Gminnym Ośrodku Kultury od 22 lat króluje pani Jadwiga Mackała. Po ukończeniu szkoły plastycznej pracowała w Spółdzielni Przemysłu Lekkiego i Artystycznego w Tomaszowie Mazowieckim. Ze względów rodzinnych przeniósł się w swoje strony; pochodzi z Kuźnicy Białostockiej. - *Zaproponowano mi do wyboru prowadzenie świetlicy w Śniczanach lub ośrodka kultury w Sidrze. Wybrałam Sidrę. Był to trafny wybór. Nie mogłabym mieszkać w mieście. Sidra to spokojna i miła miejscowość. A jak się zmieniła przez ten czas, rozbudowała się i*

jest bardziej zadbana. Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Sidry wystraszyłam się, był kwiecień, dookoła błoto, deszcz, szaruga. Teren wyasfaltowane drogi, nowe domy, park. Pamiętam jak w parku w czynie społecznym sadziłam drzewa. Nim weszłam w środowisko były problemy. Mnie, młodą dziewczynę ze strony chłopców spotykały głupie zaczepki, a ja nie wiedziałam jak zareagować. Tutaj do pracy zostałam wrzucona na głęboką wodę, nie miałam żadnego doświadczenia. Była to jakaś próba siły, ale pomatu weszłam w środowisko wyszłam za mąż za mieszkańca Sidry i zostałam zaakceptowana chociaż i dziś jeszcze mogę usłyszeć "nawatocz".

Pani Jadwiga najbardziej lubi pracę z dziećmi. Prowadzi zespół plastyczny, organizuje dzieciom gry i zabawy. Czasami sprowadza teatr lalek, ale spektakle robi w szkole. Pomieszczenie ośrodka jest niewielkie, może się zmieścić najwyżej 40 osób. Pani Jadwiga pracuje po południu; ludzie przychodzą, żeby posiedzieć, poczytać prasę, pogadać. - *Zaraz byłby hałas gdybym zamknęła ośrodek po południu* - mówi. W dziewięćdziesiątym roku pani Jadwiga kupiła wideo i zarabiała trochę pokazując filmy. - *Ale teraz to każdy we wsi ma wideo. Owszem, przychodzą do nas oglądać, ale nieodpłatnie. Kiedyś robiła też dyskoteki. Nawet moje dzieci mówią, mama, gdzie u ciebie robić dyskoteki, jak może się zmieścić na wyżej 10 par.* W końcu lat osiemdziesiątych pani Jadwiga miała nadzieję na stworzenie większego, bardziej funkcjonalnego ośrodka kultury. W miejscu starego kina rozpoczęto budowę nowego. Na piętrze miała się mieścić biblioteka, na parterze sala kinowa i ośrodek kultury. Kiedy część budynku została ukończona, czasy się zmieniły i okazało się, że była to własność kościoła. Budynek został przekazany parafii, na dole - tam gdzie miał być GOK - wynajęto pomieszczenia na prywatny sklep, a reszta, niewykończona od kilku lat, niszczeje.

Dyrektorka GOK-u mówi, że trudno w takiej miejscowości jak Sidra

nie jest potrzebna

robić coś ambitnego. Tylko imprezy plenerowe znajdują szerszą widownię. - *U nas taka mentalność: zebrać się, pograć w karty, wypić. Każdy ma swoje problemy i nie chce udzielać się społecznie. Młodzież dojeżdża do szkół w Dąbrowie, Sokółce, Białymstoku, wraca na soboty i niedziele. A potem wyjeżdża do miast, bo w Sidrze nie ma perspektyw.*

W początkach XVII wieku Sidra stała się ośrodkiem kalwinizmu: czesnik litewski Piotr Wołłowicz wzniósł tutaj murowany zbór usytuowany w centralnej części miasta, na rynku. Rola Sidry w tym czasie musiała być znaczna, skoro stanowiła ona siedzibę superintendenta kościoła kalwińskiego.

Na początku XVIII wieku Stanisław i Maria Szczukowie podjęli decyzję budowy kościoła katolickiego. Projekt wykonał włoski architekt J. Pioli. Rozpoczęto murowanie fundamentów, lecz ze względu na działania wojenne trzeba było zamieścić dalszej budowy. Kościół, stanowiący połączenie stylu barokowego i klasycystycznego, został ukończony dzięki następnemu właścicielowi Sidry Ignacemu Potockiemu.

W latach późniejszych Sidra nie zdolała się bardziej rozwinąć. W wyniku powstania styczniowego utraciła też prawa miejskie. W 1883 roku rozebrano zbór i pałac zbudowany na wzniesieniu przez Potockich.

Miary upadku i zniszczenia niegdysiejszego znacznego miasta dokonała ostatnia wojna. Podczas zajmowania Sidry w czerwcu 1941 roku przez wojska hitlerowskie spaliła się drewniana synagoga i dom talmudyczny, jak też 50 domów znajdujących się przy rynku. W czasie okupacji Niemcy wywieźli do obozu zagłady w Treblince około 500 Żydów - mieszkańców Sidry. Liczne były rozstrzeliwania, aresztowania i wywożenie na roboty. W Sidrze istniała placówka AK na czele której działał Wacław Hryckiewicz. W końcu lipca 1944 roku Sidra została wyzwolona przez wojska sowieckie.

Wychodzę z oficjalnych pomiesz-

czeń na skwerek, szumnie zwany parkiem przez mieszkańców Sidry. Podchodzę do starszej pani zajmującej się kilkuletnim wnukiem. Dobrze trafiłam. Kobieta od urodzenia mieszka w Sidrze. Mówi, że dużo się w jej miejscowości rodzinnej zmieniło i to na lepsze; bardzo chwali wójtą. Zbudowano nową szkołę zbiorczą, poprawiono i wyasfaltowano drogi, doprowadzono wodociągi. Połączenia z pobliskimi miastami są dobre. A w ogóle Sidra to zadbana i spokojna miejscowość; wieczorami można wyjść nie obawiając się napadów i awantur. Babci wtrąca 7-letnia wnuczka Magda, która przybiegła w czasie naszej rozmowy. - *A ja wiem, że u nas jest wspólnie. Nigdzie indziej nie chciałybym mieszkać, tylko tutaj* - mówi rezolutnie.

O tej porze - w południe - w parku nie ma za dużo mieszkańców. Podchodzę do ławki, gdzie siedzą mężczyźni. Donośna rozmowa świadczy o wzburzeniu nastrojów. Henryk, Stanisław, Zdzisław i Wojciech wójtą też chwali, chociaż nie są zadowoleni z obecnej rzeczywistości. - *Kiedyś nie siedzieli my w parku. Pełne kieszenie pieniędzy były. Wagony do geesu przychodzily, z cementem, wapnem, mieszanką paszową, na rozładunku można było dobrze zarobić. A teraz co, na kuroniówce. SKR zlikwidowali, w GS-ie zwalniają, chyba do wójtą trzeba iść na roboty interwencyjne.* Panowie są niezadowoleni jeszcze z innego powodu - w Sidrze nie ma gdzie się zabawić. Jedyne GS-owska restauracja, - porządny, murowany budynek - została zlikwidowana. Duża sala świeci pustkami. W kącie kilka pówek z winem, napojami, słodyczami. W całej Sidrze nie ma nawet baru. - *Jak ktoś chce wypić, to trzeba po krzakach się chować* - mówią mężczyźni.

Podchodzi do nas starszy mężczyzna. - *Wielezszyk Jan, sotty Sidry od 17 lat* - przedstawia się. Sottysowi tak ogólnie się nie podoba, ale w Sidrze wszystko jest inaczej, szczególnie ludzie: wójt jest bardzo dobry, prawdziwy gospodarz, prezes GS-u Jurgiel dobry człowiek - tak kręci, aby ludzi nie zwalniać. Mówi:

Jak padniem, to wszyscy padniem. Nawet policja nie jest w Sidrze potrzebna, uważa sottys. Co innego Ochotnicza Straż Pożarna - przywołuje młodego człowieka z wąsami, jak na strażaka przystało. Kazimierz Hołubowski dowodzi około trzydziestoma ochotniczymi strażakami. Naczelnik straży skarży się na sprzęt, szczególnie na wozy strażackie - *Nasz cały sprzęt to graty. Wstyd wyjeżdżać. Stajemy w polu nim dojeździemy do pożaru. Zostawiam panów sprzeczącących się, kiedy był ostatni pożar... w Wólce stodoła się paliła w zimie, ...nie, na wiosnę garaż w Sidrze... ostatnio SKR się pali!*

Chcę porozmawiać jeszcze z piękniejszą potową mieszkańców Sidry, a gdzie ją można spotkać o tej porze, jak nie na zakupach. Na przeciw barokowego kościoła - obok skwerku, w niskich pawilonach mieści się kilka GS-owskich sklepów. Niestety mieszkanki Sidry są bardzo nierozmowne. Idę odpocząć na przystanek autobusowy. Dwie dziewczynki, uczennice pierwszej klasy, odpowiadają chętnie na pytania. Renatka, ta poważniejsza, z warkoczykami, lubi chodzić do szkoły, Justyna, szatapat na rowerku - nie. - *Nudzę się w szkole* - mówi. - *A co, wołałabyś się nudzić w chacie?* - odpowiada Renata. Renatka mieszka w Szostakach, teraz czeka na autobus. Na autobus czeka także starszy mężczyzna z siatką pełną zakupów. Przygląda się z sympatią dziewczynkom, ale nic nie mówi. Pytam, czy jest z Sidry. Daje mi do zrozumienia, że jest głuchy. Był chłopcem, kiedy stracił słuch. Piszę na kartce - nudno panu? Rozkłada ręce. Tak, żyje sam i czuje się bardzo samotny. Nawet tak spokojna i cicha miejscowość jak Sidra to dla niego rozrywka.

Obecnie Sidra jest wsią letniskową, posiadającą sporo walorów turystycznych. Wszędzie cisza i spokój, dużo zieleni, niewielkie laski, barwne kobierce pól i łąk stanowią idealne warunki wypoczynku*.

* Z przewodnika turystycznego

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Estetyka brudu

Nie wiem czy ten numer *Styku* ukaze się przed czy po wyborach samorządowych, ale myślę, że kandydat na radnego, który w swoim programie umieściłby walkę z wszechobecnym brudem, zalepiającym Białystok od rogatek po centrum, nie zwróciłby na siebie niczyjej uwagi. Z dotychczasowych doświadczeń wynika bowiem, że ludziom brud nie przeszkadza, a piękna i czysta ekologicznie ziemia białostocka lepi się od gnoju, naniesionego przez nas samych znacznie gęściej niż to w innych regionach bywa.

Z pewnością przyczyna takiego stanu rzeczy tkwi w narodowych skłonnościach do bałaganiarstwa, ale tu w Białymstoku jego nadzwyczajny rozkwit bierze się z wiejskiego charakteru miasta. Miasta, w którym połączyły się najgorsze cechy środowisk robotniczych, z cechami ludności rolniczej i wyszedł z tego mutant nie do opisanie. Historycy i socjologowie zajmują się przyczynami takich a nie innych skłonności przypisanych jakiejś nacji, rola czasopism czy gazet polega na tym, że wskazują one na zjawiska, identyfikują, a ich pracownicy mają złudną nadzieję, że to cokolwiek zmieni.

Nie ma wątpliwości zatem, że brud Białostoczanom nie przeszkadza. Klatki schodowe bloków przedstawiają sobą obraz nędzy i rozpacz, zsypany na śmieci w tych klatkach zawalone są gnijącymi odpadkami w związku z czym pozostałości walają się jeszcze na schodach. Windy popalone na zewnątrz i w środku, rzadko można natrafić na sprawną żarówkę, ściany odrapane niemiotosiernie, ale przede wszystkim panuje niewiarygodny wprost smród. Smród gnijących odpadków, śmieci, moczu psów i kotów, szcurzych odchodów i wszystkiego co tylko może na świecie śmierdzieć.

W niewielkim mieście francuskim St. Dizier spacerowałem sobie po dzielnicy pełnej identycznych jak nasze bloków, zbudowanych na peryferiach dla Marokańczyków i Algierczyków, którzy masowo na-

plynęli do Francji po odzyskaniu przez te kraje niepodległości czyli wygonieniu francuskich wojsk. W tych blokach obala się funkcjonujący u nas mit na temat ludności arabskiej: wszędzie czysto, prawie bez zadrapań, windy czyściutkie, z żarówkami, w oknach klatek firanki i kwiaty.

Administracje spółdzielni mieszkaniowych, poza tym, że rzeczywiście nic nie robią, tłumaczą się bezcelowością remontów drobnych i generalnych, kilka dni po odmalowaniu klatki i windy sytuacja wraca do normy. Wraca, bowiem mieszkańcy nie potrafią pojąć, że jest to ich dom, a od brudu przecież jeszcze nikt nie umarł, że smrodu natomiast urodziło się sporo członków tego niby europejskiego społeczeństwa.

Brud to nie tylko ulica i klatka schodowa, ale może w pierwszym rzędzie człowiek. Obyczaj tutejszej ludności polega na tym, że na brudne ciało wlewa się litry wody spryskując dezodorantami. Połączenie tych wszystkich czynników daje zapach nie spotykany nigdzie na świecie. Często okazją do degustacji tak pojętej europejskości są koncerty estradowe, na których zjawia się kwiat small-businessu, prosto z bazaru albo innych budek. Jest to zresztą obyczaj sowiecki, często i gęsto opisywany w takich książkach jak chociażby "Wspomnienia lejtnanta Armii Czerwonej", zaadaptowanej na scenę Teatru im. Al. Węgierki. Przystawki "adiekatki" okazuje się szczytem europejskości i w ogóle wysokiej kultury, z czym w Białymstoku mamy kontakt na każdym kroku.

Lekceważenie brudu jest obowiązującą normą. Nie zwraca na niego uwagę policja, nie obchodzi to straży prezydenckiej. Parkowa-

nie na trawniku karane jest mandatem wcale nie z tego powodu, że stróża prawa drażni fakt niszczenia kawałka zieleni, ale że przepisy mówią o zakazie stawiania auta w takim miejscu. Fakt - przepisy nie mówią nic o czystości samochodu, o bałaganie w obejściu właściciela kamienicy, rzucaniu pełtów wprost pod nogi przechodniów. Zarazony tym obyczajem rzuciłem - swęczasu - taki niedopatek na chodnik w zachodnoniemieckim mieście. Nagle, jak spod ziemi wyrósł policjant, który w prostych słowach wytłumaczył mi, dlaczego jestem zobowiązany do zapłacenia mandatu w wysokości 100 marek, co przewyższało wówczas moje miesięczne zarobki. A Niemcy nie instalują koszy na śmieci na ulicach, bo do głowy im raczej nie przychodzi, żeby ktoś idąc chodnikiem palił papierosa. Ten obyczaj zaczynam powoli zauważać w miastach zachodniej Polski. Do Białegostoku trafi - jeśli w ogóle trafi - zapewne w przyszłym stuleciu.

Tak od tolerancji brudu przeszliśmy do obyczaju zachowania czystości. Idealem byłoby zlikwidowanie pierwszego zjawiska i wprowadzenie tego drugiego, najlepiej jednocześnie. Ale oczywiście nie ma co liczyć ani na jedno, ani na drugie. Liczyć natomiast można na coraz znaczniejsze przekonanie o tym, że już weszliśmy do Europy, bo w sklepach jest dużo towaru w kolorowych opakowaniach. Kiedy komuś mówi się, że Europa to skarpetki i majtki zmieniane codziennie, codzienny prysznic i odświeżacz oddechu, to patrzy jak na idiotę i ostrzega przed nami znajomych. Jedyny skutek to taki tekst jak ten, z którego rzecz jasna i tak nic nie wynika.

Jacek Grun

Wyciągnięte z prasy

Gumisie z okienka

Od pewnego czasu trwa w polskiej prasie burza polemiczna na temat upadku uczciwości, szla-

chetności i całej lepszej połowy uczuć. Niektóre zacne pióra bronią co prawda tezy, że to nieprawda, że ten Mr Hyde, który nam pokazuje bez żenady swą tysiącokrotną gębę coraz śmielej - to fatamorgana czarnowidzów. Że nic w Polsce nie pękło, nic się nie skończyło. Tymczasem, jakby specjalnie na przekór naszym piórom, różnie wcielania pana Hyde'a dostarczają dowodów, że wręcz przeciwnie.

PSL-owska ekipa, na czele z facetem o twarzy jak portret pamię-

ciowy i glosie jak zerznęta owieczka, wybrana głosami tęskniących za nowym Witosem chłopów, zasmakowała w dobrze zadaszonym działactwie gabinetowym i majstruje przy tej Polsce jak przy zepsutym ciągniku. Nawet SLD zepchnęli na ich własną połowę boiska. Nie jest ważna przyzwoitość, lojalność - grunt, żeby się samemu załapać do pierwszego rzędu i chłopakom ze swojej wioski coś załatwić.

W tym celu należy wprowadzić monopole na wszystko - od monopolu na monopolkę i lulkę rzecz jasna poczynając. Dobrze jest też mieć monopol na informacje - w tym celu trzeba wstawić okienko w telewizji, na którą po to płacimy abonament, żebyśmy mogli posłuchać, jak jakiś gumiś z okienka zajmuje się strączytelstwem.

Za nasze też pieniądze udał się pan premier (a z nim Krewni i Znajomi Królika) na obchody 50 rocznicy bitwy pod Monte Cassino. Symbolu polskiego bohaterstwa. Jednej z polskich legend żyjących w historii, literaturze i pieśni. Jednak ci, którzy tam już raz byli - pięćdziesiąt lat temu - nie załapali się na rządową wycieczkę. Musieli za ekskursję zapłacić, a na tych co nie mieli czym - trzeba było zrobić rzutkę. To poniekąd logiczne; gdy-

by za budżetowe pieniądze wysłać kombatantów, a na wyjazd Pawlaka organizować ściepki - nie uzbierał by na kostur podróży.

Na tę wycieczkę też było się nie pchać bohaterom sprzed 50 lat. Pan z Urzędu d/s Kombatantów, którego zadaniem jest ułatwianie tymże życia, wysłał ich do Włoch za pośrednictwem biura podróży swego kolegi z wojska, a ten doszedł do wniosku, że skoro ci ludzie raz się tam dostali na piechotę, to nie będą teraz wybrzydzać. Niestety, mimo że nikt do nich nie strzelał jak to ongi bywało, wybrzydzą niewdzięcznicy, określają organizację wycieczki jako koszmar, poniżenie a nawet gorzej i podają smakowite szczegóły czyhajacej na nie prasie. Założyli Stowarzyszenie Poszkodowanych przez biuro "Mazovia" i wnoszą sprawę do sądu. Właściciel biura czujnie się co prawda ulotnił z kasą, ale parę osób w zastaw zostało. Cóż, "ci co polegli - poszli w bohaterzy, ci co przeżyli - muszą walczyć dalej", jak śpiewa Kaczmarek. To dzielni ludzie - zdobyli twierdzę Monte Cassino, ale zdobyć okopów bezczelnej biurokracji chyba im się jednak nie uda.

Zastanawia mnie przy takich okazjach bezmyślność naszych rządzących. Przecież tak łatwo so-

bie dodatkowo zapunktować w naszym rozemocjonowanym społeczeństwie. Zamiast remontować pałac na rezydencję - wyposażyć w nowoczesny sprzęt (lub chociażby system awaryjnego zasilania) jakiś szpital dziecięcy. Zamiast lecieć samemu z rodziną do Włoch - zabrać jeszcze parę osób, które **naprawdę** powinny tam być. Załatwić jeszcze ze dwa samoloty dla tych ludzi. I to nagłośnić. Nie trzeba wtedy mieć własnych okienek, dziennikarze sami to załatwią. Za jednym zamachem i dobry uczynek, i populaność w narodzie. "Prerogatywy króla po to zostały stworzone, by mógł czynić to, co dobre, a nie to, na co ma ochotę" - napisał lord Halifax już w XVII wieku i ciągle ma rację. Czytajcie książki chłopaki, zamiast rozwiązywać krzyżówki i jeździć na polowania.

Czytelnikom zaś, jako pracę domową, zadaje pytanie: Jeśli mamy tak marnych reprezentantów na najwyższych szczeblach, to czyje głosy ich na te szczeble zaprowadziły? Dlaczego potrafimy zdobyć Somosiery i Monte Cassina, a nie potrafimy wybrać porządnego rządu?

Może są to pytania o dalsze losy naszej młodej demokracji?

Roman Blank

NACIĄGANIE NA KRÓTKĄ SPÓDNICZKĘ

Ci, którzy pracują w kulturze, wiedzą, że jest to raczej ciężki kawałek chleba. Nawet nie dlatego, że za pracę płacą tu poniżej... nie tylko średniej krajowej. I nie dlatego, że jest to jakiś szczególnie trudny rodzaj pracy - przynajmniej dla tych, którzy znają się na swojej robocie i ją lubią. Ciężko jest ze względu na warunki w jakich pracujemy.

Cóż, nie da się ukryć, że kultura to nie bulka z masłem, której potrzebujemy żeby tam nie wem co, ani też artykuł luksusowy typu samochód, od posiadania którego zależy spokojny sen jakże wielu z nas. Bez kultury można się całkiem spokojnie obejść. I niektórzy obchodzą się przez całe życie, co widać i słycać wszędzie.

Między innymi ten stan rzeczy powoduje, że prawie żadna większa impreza, bez znaczenia - mniej czy bardziej atrakcyjna, nie może się odbyć bez współudziału sponsorujących.

Któż to są ci pomagający? Dawniej nazywano ich mecenasami; tyle tylko, że mecenat różnił się nieco od tego zjawiska, o którym tu mowa. Być może dlatego więc wymyślono na to inną, zgodną z obowiązującą modą na angielszczyznę, nazwę: sponsoring.

Sponsor to po prostu biznesmen. Każdy, od którego można cokolwiek wydusić "na kulturę". Sponsor na kulturę chętnie nie daje, bo korzyści z tego nie ma on praktycznie rzecz biorąc żadnych. Że pani Kasia czy inna Marysia przyobieca mu reklamę w trakcie imprezy? A co biznesmenowi po takiej reklamie, jeśli ma on do wyboru reklamę w prasie, radiu, a co bogatsi - nawet w telewizji? A gdyby nawet dał się uprosić, nie ma żadnej gwarancji, że nikt o nim nie zapomni i w całym zamieszaniu, jakie zazwyczaj towarzyszy tzw. przedsięwzięciom kulturalnym, nazwa jego firmy zostanie w ogóle wspomniana.

Tak więc jeśli biznesmen daje na kulturę i staje się sponsorem - to tylko dlatego, że albo zwyczajnie spodobała mu się Kasia czy Marysia i robi to z sympatii, albo nie ma już czego odpisać z podatku. W przeciwnym wypadku, gdyby biznesmenom nie szło o korzyści z zasilania kultury i byli skłonni robić to bezinteresownie, ot tak dla kaprysu - to nie byłoby sponsora-

mi, a mecenasami właśnie. A ci wyginęli gdzieś tak zaraz po mamutach i dinozaurach.

Zdarzyło mi się jakiś czas temu uczestniczyć w przygotowaniach do pewnej imprezy. Debatę nad sprawami organizacyjnymi rozpoczęto od pytania: czy znajdują się jacyś sponsorzy? Nie wspomnę już nawet o tak szlachetnym fakcie, że jeśli porządny pan domu nie ma za co urządzić bibki, to nie lata po oplotkach żeby zebrać na wódkę dla gości. Pan domu po prostu zacznie kombinować ile ma, a ile mu potrzeba. I czy zaistnieje sytuacja, że mu zabraknie. A tu nie, od razu z grubej rury: kto dołoży? Kiedy w dalszej części debaty okazało się, że właściwie pieniądze są - zapytałam nieśmiało: po co więc sponsorzy? - *Bo to lepiej wygląda, jeśli impreza organizowana jest z udziałem sponsorów* - odparł "pan domu". - *Jeśli pani nie wie jak się to robi, mogę pani powiedzieć: najważniejsza jest krótka spódnica. Trzeba się ubrać w krótką spódnicę i iść w miasto!*

Pamiętajcie więc, kochani, jeśli spotkacie na ulicy kobitki - nawet te w wieku wątpliwym - odziane w kuse spódniczki, nie myślcie sobie, że to jakieś niecne lowczynie męskich, z przeproszeniem, wdzięków. To Kasie i Marysie.

Anna Kowalska

Lance do boju...

Gdy słuchałam (niezliczone razy!...) tych historyjek - nie zastanawiałam się nad rzeczą tak oczywistą, że skoro dla opowiadających są one wspomnieniami ich, minionej już wówczas, młodości, to i oni sami też kiedyś przeminą. No i przeminęli, a ja nie zanotowałam ich słów. Nie tylko nie zapamiętałam wszystkich zdarzeń, ale i w tych, które w pamięci mi zostały - są luki. Dziś już nie do uzupełnienia: nazwiska osób, numery pułków... Albowiem opowiadający znali je, pamiętali, podawali. Zresztą, mimochodem, po prostu jako rzecz oczywistą.

Ano, przypało. Wydaje mi się jednak, że - mimo tych braków, nawet w tej szczątkowej formie - warto zachować pamięć o tych anegdotach. W jakiejś części stanowią o atmosferze tamtych czasów.

I jeszcze jedno: ci, od których te dykteryjki słyszałam - byli kawalerzystami. Dlatego prawie wszystkie przytoczone tu opowiadki dotyczą kawalerii.

* * *

Do pułku przyjechał na inspekcję generał. Dowódca pułku, jego adiutant, a zapewne i inni jeszcze oficerowie - oprowadzają gościa po koszarach. Generał zagląda wszędzie, ale, w przewidywaniu takiej okoliczności - każdy zakamarek wypucowany został jak najdokładniej. Generał chodzi, patrzy i - nic nie mówi. Ani nie chwali, ani nie gani.

Potem jest obiad w pułkowym kasynie, rozmowa toczy się właściwie o niczym... W końcu adiutant dowódcy pułku, zdając sobie sprawę z jego (dowódcy) napiętego oczekiwania - bierze na odwagę i pyta:

- Panie generale, jakie pan generał ma wrażenie o tym, co u nas zobaczył?

- To nie jest złe... - odparł generał nieco półgębkiem, bo między jednym kęsem, a drugim.

Twarze rozpromieniły się z ulgą.

... wprost ohydne! - dokończył generał, tym razem wyraźnie już kęs połknąwszy.

Wszyscy zaś pojęli, że nie o jedzeniu mowa...

* * *

W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku dość popularna była gra dla dzieci, zwana "inteligentem". Polegała na tym, że z jakiegoś słowa - możliwie długiego - z zawartych w nim liter układano się inne wyrazy. Obowiązywały pewne warunki. Przede wszystkim określony czas oraz w nowotworzonym wyrazie litery mo-

gły powtarzać się tylko tyle razy, ile razy występowały w słowie-bazie. Wygrał oczywiście ten, kto w uzgodnionym czasie ułożył najwięcej nowych słów. Do owych zawodów najczęściej wybierało się słowo - trochę dziwoląg, ale mające mnóstwo liter: Neapolitańczykowiec.

Otóż oficerowie (a w tym przypadku nie koniecznie wyłącznie kawalerzyści) też mieli swoją zabawę w "inteligenta". Proponowano słowa i losowano je, a gdy któreś zostało wybrane - trzeba było (w uzgodnionym uprzednio czasie) wypić tyle kieliszków alkoholu - kieliszki ustawiano rzędem - ile liter liczyło słowo.

Czy rodzaj trunku był jeden, czy były różne i czy mogły się powtarzać w zależności od powtarzających się liter w słowie - zależało chyba od umowy pomiędzy "grającymi".

W każdym razie był oficer, ponoć wcale nie z tych młodszych wiekiem, który wypijał w przepisowym tempie, całego... Nabuchodonozora.

* * *

Jeśli d... masz z mosiądzu

Skończysz C.S.K. w Grudziądzu.

Jednak w grudziądzkiej Centralnej Szkole Kawalerii uczono nie tylko jazdy konnej oraz wszelkich związanych z nią umiejętności, lecz i innych gałęzi wiedzy sztuki wojennej. Rzecz jasna - ówczesnej.

Nigdy nie przyszło mi do głowy spytać, jak duży i jak usytuowany był teren, na którym "przerabiano" zadania taktyczne - w praktyce. Naprawdę wiem tylko, że teren ten przylegał bezpośrednio do zwykłego ornego pola jakiegoś gospodarstwa oraz, że na tym ćwiczebnym terenie był wzgórek, a na nim rośło drzewo.

Jednym z zadań dla młodych, początkujących adeptów CSK było ustawienie w odpowiedniej pozycji armaty na placu ćwiczeń.

Pewnego razu, wiosną, młodzieńki podchorąży właśnie tę armatę ustawiał. Schował ją za wzgórek tak, że widać jej nie było, bo nawet nieco wystającą lufę maskowały jakieś krzaczki. Wtedy chłop, orzący sąsiednie pole, zatrzymał swego konia, odjął dłonie od pługa, złożył je w trąbkę koło ust i zawołał:

- Panie podchorąży! Panie podchorąży!

Zajęty i przejęty podchorąży odwrócił się i odkrzyknął ze złością:

- O co chodzi?

Chłop zostawił pług i konia i podszedł bliżej.

- Ta harmata - powiedział - musi stać na tej górcie, wedle drzewa. Bo tam - wska-

zał ręką - będzie niby nieprzyjaciel, to on go będzie prażyć z wysoka... Lepsze widzenie będzie miała...

- Pilnujcie lepiej, żeby wam wyrosło to, co zasiejecie! - fuknął podchorąży, dotknięty do żywego. - A do spraw wojskowych nosa nie wtykajcie!

Po czym dalej mocował się z armatą. Chłop stał chwilę, popatrzył, wzruszył ramionami i odszedł. Ale tak manewrował oraniem, że, gdy przyszła komisja egzaminacyjna, on był blisko.

Usytuowanie armaty oficerowie-wykładowcy skrytykowali doszczętnie, wyjaśniając, iż powinna stać na wzgórku, pod drzewem, bo wówczas jego pień będzie bodaj jako-tako osłaniał strzelającego od tyłu, on zaś wroga przed sobą będzie miał jak na dłoni i dogodne pole do ostrzału... W każdym razie, powiedziano coś w tym rodzaju, po czym wykładowcy odeszli, a zmatkobożony podchorąży stał ze spuszczoną głową.

- A widzi pan podchorąży - odezwał się chłop - racja była przy mnie. Tu co roku panowie podchorążowie z tą harmatą tak ćwiczą i zawsze ją na górkę, pod drzewo wciągają... A moje żytko urosło, urosło... Co ma nie urosć, kiedy wszystko zrobione z pomyślunkiem, akuratnie, jak trza... No, wiata!...

* * *

Gdy skończyła się wojna (mowa o wojnie 1920 roku) - do podziału na poszczególne pułki były konie. Nadarzała się okazja zdobycia dobrych wierzchowców. Pułki starały się, jeden przed drugim, wybrać dla siebie najlepsze sztuki. Nie wiem też czy, w ilu i w jakich innych miastach odbywały się te końskie demobile - w Warszawie był taki na pewno.

Dowódca jednego z kawalerskich pułków wysłał do Warszawy swego adiutanta z poleceniem, by wybrał co najlepsze konie, nikomu nie dał się ubiec i by zatelefonował do pułku, czy się udało.

Ów dowódca miał szczególną cechę, polegającą na tym, że w chwilach wielkiej emocji przestawiał sylaby lub, czasem, tylko litery z jednego wyrazu do drugiego. Na przykład, zamiast "wysokie góry" mówił "gósokie wyry"... Teraz, w napięciu i zdenerwowaniu, czekał na wiadomość z Warszawy.

Po paru dniach adiutant zatelefonował.

- Czy sonie ką?! - krzyczał w słuchawkę, pełen najwyższego niepokoju, podniecony dowódca.

A adiutant, jak sam później opowiadał, odkrzyknął uspokajająco:

- Ką, ką, panie pułkowniku!

* * *

Do odradzającego się - po przeszło wiekowej niewoli - wojska polskiego, ściągali

żołnierze i oficerowie z trzech armii krajów zaborczych: Austrii, Prus i Rosji. Oficerowie często-gęsto słabo lub wręcz źle mówili po polsku. Błędy-germanizmy jakoś nigdy nie obłyły mi się o uszy. Pewnie dlatego, że bywający u nas koledzy mego ojca wywodzili się wyłącznie z byłej armii rosyjsko-carskiej. Więc od rusycyzmów aż się roilo.

I tak na przykład rotmistrz E.S. wręcz zastynał (znany był także i z innych rzeczy), z tego, że wyznaczony do wygłoszenia powitania jakiejś przybywającej do pułku ważnej osoby wojskowej - powiedział, iż wita ją ... od twarzy pułku - co miało znaczyć "w imieniu pułku", a co jest dosłownym przekładem rosyjskiego zwrotu "ot lica polka"...

* * *

W Grudziądzu zdarzyło się kiedyś, że starszy już wiekiem oficer prowadził w tamtejszej C.S.K. - grę wojenną. Na mapie. Wszystko było na niej, do najdrobniejszych szczegółów. zaznaczone: tu my, tu nieprzyjaciel, tu las, tu rów, tu woda itd. Zadanie: jak wyjść z trudnej sytuacji. Słuchaczami byli oficerowie, w różnym wieku i różnych stopni. Wykładowca wzywał ich kolejno do tablicy.

- Ja, panie pułkowniku - powiedział jakiś major - prześlizgnąłbym się tędy...

- Ja, panie pułkowniku - mówił porucznik - prześlizgnąłbym się tędy...

Po kilku następnych takich odpowiedziach, wykładowca, którego zdaniem żadne z proponowanych rozwiązań nie było właściwe, westchnął i powiedział:

- Nu, tak ja widzę, że panowie oficerowie z pola walki zrobili sobie katok...

"Katok", to po rosyjsku "ślizgawka".

* * *

Wyższy rangą i starszy wiekiem oficer przeprowadza lustrację jakiejś jednostki wojskowej, po czym wypowiada swą opinię:

- Jeśliby to byli dawne czasy, to ja by wam wszystkim dał w mordę. No ponieważ teraz jest demokracja, to - dziękuję panom!...

* * *

Działo się w Suwałkach, gdzie stacjonował 3-ci pułk szwoleżerów (złoty otok). Do tego pułku przywiązana była "żurawiejka":

Kto w Suwałkach robi dzieci?

Szwoleżerski młody trzeci...

Na interwencję miejscowego księdza proboszcza słowo "robi" zastąpiono słowem "lubi", chociaż dowódca pułku (ponoć na obiedzie w plebanii) perswadował księdzu, że lubienie czy nielubienie dzieci - nic tu nie ma do rzeczy. Ksiądz nie ustąpił i tak po-

wstała tak zwana "wersja dla pań". Ale to wzmianka tylko na marginesie.

Pewnego dnia dowódca (może ten, może inny) stał sobie w swoim mieszkaniu przy oknie i wyglądał przez nie na rynek. Naraz zobaczył, że jakiś porucznik kroczy dziarsko, ale jest - nieprzepisowo - bez szabli.

- Panie poruczniku! - zawołał pułkownik i wezwał go do siebie.

Po niedługiej chwili porucznik zameldował się. Był, jak należało, przy szabli.

Pułkownik zapytał go o byle co i pozwolił odejść, a sam wrócił do wyglądania oknem. Gdy porucznik pojawił się na zewnątrz - był bez szabli. Pułkownik wezwał go znowu, a po niedługiej chwili młody oficer stanął przed nim - przy szabli. Za trzecim razem, kiedy wszystko się powtórzyło, pułkownik powiedział:

- Panie poruczniku, przyrzekam, że żadnych konsekwencji służbowych wobec pana nie wyciągnę, ale proszę mi powiedzieć, co za czury pan wyprawia? Przecież widzę przez okno...

- Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że w przedpokoju, na wieszaku, wisi pańska szabla!...

* * *

Na koniec opowiadka ponoć dość powszechnie znana jako anegdota i to "z brodą". Mnie jednak zapewniano, że zrodziła się z historyjki prawdziwej. Chyba nieważne, jak było w rzeczywistości. Prawdziwa, czy nie - należy do atmosfery tamtej epoki.

A więc odbywały się manewry. Piechocińskie. Jednemu z młodszych wiekiem kapitanów wyznaczono punkt obserwacyjny na miedzy. Kapitan położył się płasko, na brzuchu i przez lornetkę wypatrywał "wroga". Ale był upał i słońce przyło kapitana w kark, jak cholera. Wyciągnął z kieszeni gazetę i nakrył nią głowę. Samoloty, choć jeszcze nieliczne, w owych czasach już były i lotnik bez trudu mógł dostrzec, na tle pola, jasną plamę papieru.

Na razie stanowiska sprawdzał dowódca odcinka. Natknąwszy się na osłoniętego przed promieniami słońca obserwatora na chwilę przystanął zaskoczony, ale nic nie powiedziawszy poszedł dalej.

Wieczorem odbywała się odprawa. Miano omawiać to, co w ciągu dnia działo się w terenie. Wspomniany wyżej dowódca zaczął od pytania:

- Proszę panów, co leży w polu nakryte gazetą?

Cisza. Zaskoczonym oficerom nasuwało się w odpowiedzi jedno słowo, ale nikt nie ośmielił się wymówić go głośno: zaczynało się na ósmą literę alfabetu i było "brzydkie"...

- Otóż nie - rzekł prowadzący odprawę, w odpowiedzi na wciąż trwające milczenie. - Kapitan piechoty!

Katarzyna Witwicka

Debiut bardzo osobisty

*... Jestem udawaną obojętnością
ironią i pustym śmiechem*

A może przekorą?

Jestem! Tym wszystkim

Kim nie pragnę być

A jestem ...

(fragment wiersza "Kim jestem" Iwony Piekar)

Iwona Piekar nie pretenduje bynajmniej do wizerunku natchnionej poetessy, na ramieniu której permanentnie przesiaduje muza poezji, szepcząc autorce do ucha natchnione strofy. Jest ona wręcz przeciwnie kobietą programowo podkreślającą swoją zwykłość, a nawet przeciętność. Obsesyjnie pomniejsza wręcz wagę swojej bardzo osobistej, kobiecej wypowiedzi poetyckiej określając ją jako "ckliwą i babską" i nie jest to, bynajmniej, kokieteria.

Pisze, rymuje, układa strofy, porządkuje myśli ponieważ ma kilka spraw w życiu do załatwienia głównie z samą sobą.

Przed wszystkim przeraża debiutantkę okrutny upływ czasu, przemijanie, bieg godzin wstecz. Jako kobieta dojrzała wie doskonale, że to zjawisko jest nieodwracalne, dla kobiet szczególnie bolesne i bezmiernie smutne. Dlatego też swój tomik poetycki zatytułowała wprost - *Zatrzymajcie zegary*.

Iwona Piekar pragnie określić i nazwać siebie, szuka w sobie porządku w stosunku do otaczającego świata, tropi, by uogólnić własne "ego". Poetka nie zna siebie do końca i nie wie, czy przypadkiem obok dobra jakie kryje wewnątrz - nie kielkują w jej duszy mroczne jakieś, nienazwane moce, które mogą w pewnej chwili zburzyć jej harmonijny, cichy świat. Z jednej strony autorka boi się tego, z drugiej zaś jakby pragnęła "TO" nieznane przeżyć i odmienić bieg życia.

Kolejny element w twórczości Iwony Piekar to pokora wobec świata, wobec bliźnich, wobec otoczenia. Niejednokrotnie ma to postać odsuwania się, cofania, odchodzenia. Źródeł takiej postawy należałoby szukać w sferach bardzo osobistych.

Tomik *Iwony Piekar* - debiut - wydany nakładem oficyny **Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury** i zatytułowany: *Zatrzymajcie zegary* podpowie czytelnikowi niewątpliwie szereg myśli i pytań współbrzmiających z jego problemami i problemami burzliwie upływającego czasu.

AZB

Nie doceniałyśmy Franki. Zmyliła nas jej bezbarwność. Była szarą szarością polnych myszek, które oprócz tego, że żyją i wypełniają w odpowiednim czasie zadania, które zleciła im Matka Przyroda, nie czynią innych wysiłków.

Frania uczyła się średnio. W odpowiednim czasie skończyła studia, następnie wyszła za męża za człowieka, który mógłby uchodzić za jej brata, zarówno ze względu na podobieństwo fizyczne, jak i charakterologiczne. Małżeństwo wydawało się być udane. Oboje wystarali się o mieszkanie, w typowym szarym mrówkowcu, zrobili specjalizację i dwójkę spokojnych dzieci. Frania wykazywała spore zaangażowanie w kierunku, który sobie wybrała. Otrzymywała kolejne stopnie naukowe dosyć szybko. Wcześniej od innych zrobiła doktorat, co było chwilowym obiektem zawiści ze strony koleżanek. W końcu dziewczyny stwierdziły, że biedna Frania, nie mająca nic, oprócz szarego męża, musi też mieć coś z życia. Niech więc będzie ten doktorat. One jeszcze zdążą. Uspokoiwszy sumienie wróciliśmy do swoich zajęć.

Świeżo upieczona doktorantka niewiele się zmieniła po osiągnięciu kolejnego szczebelka w swojej karierze. Nadal pilnie słuchała profesora stojąc tuż za nim na obchodzie, sumiennie badała chorych, dużo czasu poświęcała studentom i rzadko kiedy korzystała z przywileju wcześniejszego "pryśnięcia" do domu, kiedy nadarzała się okazja. Lubiliśmy ją tak, jak się lubi przyjazny, domowy mebel, ale też nie poświęcałyśmy jej wiele uwagi i rzadko kiedy była zapraszana do udziału w naszych wyprawach i spiskach. Wydawało się nam, że Frania, nie grzesząca zbyt dużym poczuciem humoru, niczego nie rozumie i wszystko popsuje.

Najbardziej ożywiało się na oddziale, kiedy przyjeżdżali na szkolenie nasi koledzy z roku, którzy po studiach rozpoczęli pracę w terenie. Zaczynały się wspomnienia, plotki. Po pracy szliśmy całą gromadą do pobliskiej kawiarni na niekończące się rozmowy. Po miesiącu wszystko wracało do normy. Znajomi wyjeżdżali obiecując zadzwonić, napisać. Należało nadrabiać zaległości - historie chorób piętrzyły się groźnie, świecą bielą nie zapisanych obserwacji.

Któregoś z takich cichych, pracowitych dni, otworzyły się nagle drzwi pokoju lekarskiego i ku mojemu zdumieniu stanął w nich Zygmunt szczerząc radośnie zęby. Znaliśmy się od wielu lat. Był młodszy ode mnie, ale jakiś czas pracowaliśmy w tej samej poradni. Pamiętałam go również ze studiów, zawsze otoczonego dziewczynami, które zmieniał jak przysłowiowe rękawiczki. Patrzałam na niego z pobłażaniem, jak na młodszego, niesfornego braciszka. Może dlatego, że akurat nie był w moim typie, chociaż wrażenie robił - niebywale przystojny, nadskakujący każdej, niezależnie od wieku. Ponadto miał specyficzny sposób patrzenia w oczy rozmówczyni, który u innych kobiet wywoływał rumieniec na policzkach, a u mnie nie wiedzieć czemu wybuch śmiechu. Wydawało mi się,

Uwodzicielskie spojrzenie

że Zygmunt nieudolnie naśladował amantów kina niemego. Poza tym jego uprzejmość była nieco lepka i zalatywała fałszem. Jednak dosyć go lubiłam i traktowałam z tolerancją. On też poszedł mi na rękę i przestał zawieszają na mnie swoje słynne spojrzenie, tak, że współpraca w poradni układała się nam dobrze. W dni, kiedy byłam wykończona zbyt dużą ilością pacjentów, czy też miałam po prostu chandrę, w drzwiach gabinetu zjawiał się mój przystojny kolega i patrząc groźnie na pacjenta mówił głosem nie znośnym sprzeciwu - *Pani doktor, pilny telefon z dyrekcji u mnie w gabinecie*. Parę razy dałam złapać się na ten numer i biegłam roztrącając pacjentów, gorączkowo myśląc, co też ta dyrekcja może ode mnie chcieć. - *Zrób przerwę wariatko* - mówił uśmiechając się Zygmunt i stawał przede mną filiżankę pachnącej kawy. Rzeczywiście po paru łykach i chwili rozmowy o niczym, czułam się o niebo lepiej i rzucając koledze dziękczynne spojrzenie leciałam dalej do pracy. Wszystko nie trwało dłużej niż 10 minut, ratowało mnie jednak na resztę dnia.

Tak więc, kiedy zobaczyłam w drzwiach roześmianą gębę Zygmunta, ucieszyłam się szczerze. Zanim do po-

koju nadciągnęła chmara moich koleżanek, już zdążyliśmy sobie to i owo opowiedzieć. Zwłaszcza on: że był dwa lata w Stanach, że z żoną mu się nie układa itd. Nie wyglądało jednak, żeby te sprawy do reszty psuły mu humor. Przedstawiłam Zygmunta reszcie dziewczyn i Frani, która akurat weszła do pokoju. Następnego dnia Franka przyszła do pracy umalowana. Onie miałyśmy ze zdumienia. Co prawda przedtem też podejmowała sporadyczne wysiłki, żeby coś zrobić ze swoim wyglądem, ale zwykle nieumiejętnie nałożony makijaż rozmazywał się gdzieś około południa. W końcu dała z tym spokój, stwierdziła, że nie ma czasu na bzdury i odtąd pojawiała się w pracy z wyblakłymi, nie umalowanymi oczami i byle jak przygladzoną fryzurą. Szarobure sukienki i własnoręcznie

dziergane sweterki dopełniały całości. Nasze plotki o modzie zbywała machnięciem ręki. Nic dziwnego, że oniemiałyśmy, zanim powolutku zaczęło nam świtać w głowach. Zygmunt już był przy Francie i pomagał jej zdejmować płaszcz. - *Omotaj ją tymi swoimi spojrzeniami*

i komplementami, jak pajak muchę - szeptałyśmy po kątach. Szkolenie przecież kiedyś się skończy. - *Ależ głupia ta Frania* - mówiłyśmy do siebie i czekałyśmy w napięciu, patrząc na jej nagle zamyślenia, roztargniony wzrok, którym nas coraz częściej obdarzała. Nikt nie zabierał głosu, w końcu nie była dzieckiem. Zresztą dla nas był to jeden szpitalny romans więcej. W ostatnim dniu szkolenia Zygmunt wniósł do pokoju tort, zaparzył kawę. Było sporo zamieszania i dlatego pewnie nikt nie spostrzegł, że tego dnia Franka nie przyszła do pracy. Nie przyszła też w ciągu następnych dwóch tygodni. Na oddziale wrzało. Ktoś zadzwonił do jej męża, który był wyraźnie niezadowolony z telefonu i nie chciał rozmawiać, wybąkał tylko coś o dłuższym zwolnieniu. Bomba wybuchła w kilka dni później. Okazało się, że Frania wyjechała z Zygmuntem! Nikt, począwszy od ordynatora, a skończywszy na naszej kuchenkowej, nie spodziewał się po niej takiego szaleństwa. - *Przecież on ją rzuci, taką szarą mysz* - biadała salowa po kątach. Po miesiącu sprawa przycichła i życie potoczyło się zwykłym trybem.

Minęło kilka lat. Rozpoczęłam pracę w Poradni Pediatrycznej. Któregoś po-

południa, kiedy w gabinecie zapadał wczesny jesienny zmierzch, ktoś zapukał do drzwi. Nim zdążyłam odpowiedzieć, weszła kobieta. Zapaliłam światło, żeby się upewnić. Tak, to była Francka. Zmieniona nie do poznania, ale ona. Ubrana sportowo w drogie ciuchy, świeżo umyte włosy ułożone w modnie wystrzępioną fryzurę. Zaskakiwała wyglądem.

Nie doceniałyśmy naszej koleżanki. Ale okazuje się też, że nie znalazłam dostatecznie Zygmunta. To nie było tak, jak myśleli wszyscy na oddziale. To on ją namawiał do wyjazdu. Miłość od pierwszego spojrzenia i to z jego strony. Wyjechali więc i po wielu perypetiach pobrali się. Mają teraz dwie córki. Tutaj przyjechali w sprawie samochodu, który Frania rozbiła. - *Przecież nie*

umiałaś prowadzić - powiedziałam zdumiona. Uśmiechnęła się. - *Wiesz, Zygmunt jest taki nudny czasami i do mator, muszę się rozerwać, a w okolicy mam mnóstwo znajomych.*

Potem patrzyłam przez okno jak szli ulicą. Widocznie mąż czekał na nią pod przychodnią. Tylko dlaczego nie chciał się ze mną przywitać - zachodziłam w głowę. Ale też i nie wyglądał dobrze przy swojej modnej małżonce - przy długie strąkowate włosy, niemodne już, poszerzane u dołu spodnie. Przecierałam ze zdumienia oczy, wyglądał szaro i nijako. Ciekawa byłam jak z tym jego uwodzicielskim spojrzeniem. A może już z niego wyrósł?

Anna Gniewkowska

Wielką historię tworzą zwykli ludzie

Jan Baranowski urodził się w Dąbrowie Białostockiej, tam też uczył się w szkole średniej. Po ukończeniu policealnego studium elektronicznego pracował w *Unitrze* w Lipsku nad Biebrzą. Kiedy zakład zlikwidowano postanowił napisać historię swojej rodziny.

Tak powstała powieść *Dlaczego oni nie urosli*, debiut autora. Debiut wyjątkowo udany, o czym mogli przekonać się czytelnicy *Kuriera Podlaskiego*, który zamieścił kilka odcinków książki Jana Baranowskiego.

W 1919 r. Józef Baran - wdowiec, ożenił się z Katarzyną. W 1960 r. ich syn - Jan - trzasnął drzwiami wychodząc ze spotkania z partyjnym dyg-

nitarzem. Miał za sobą działalność w Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, zsytkę na Syberię i udział w II wojnie Światowej. Pół wieku historii i losy dwóch pokoleń rodziny Baranów są tematem książki *Dlaczego oni nie urosli*.

Jest to saga rodziny chłopskiej z okolic Dąbrowy Białostockiej, gdzie mieszkają obok siebie Polacy i Białorusini, katolicy i prawosławni; gdzie kilka razy w historii władza próbowała dzielić ludzi różnych wyznań, aby osiągnąć doraźne cele polityczne.

Wielką historię tworzą zwykli ludzie, oni przeżywają przede wszystkim sukcesy i porażki państwa(...) A najwięcej przegrywają w tak zwanych czasach ucziwi - te słowa Jana Baranowskiego są najlepszym komentarzem do jego powieści.

Waldemar Fiedorowicz

Dlaczego oni nie urosli - powieść Jana Baranowskiego jest konstrukcją artystyczną starannie przemyślaną. Podkreślić wypada uczciwość faktograficzną, czy - formułując inaczej - swoisty obiektywizm, jak i precyzję samego opisu rekonstruowanych wydarzeń. Szacunek musi też budzić bogactwo psychologicznego materiału i swoistych sytuacji granicznych.

Sam opis wydarzeń zawiera istotne, przełomowe czasoprzestrzenie naszej najnowszej historii. Mamy za-

tem i próbę retrospektywy obejmującej okres międzywojenny, ale też opisy deportacji i zsytki na Sybir, dokładną "anatomie" życia w łagrach sowieckich, a także zarys - pogłębiony psychologicznie - sytuacji powojennej wraz z opisem czasu stalinizmu.

Wszystkie zasadnicze, przełomowe segmenty historii ojczyzny stanowią tło, na którym, jak na wielkim ekranie prezentowane są transformacje światopoglądowe, którym podlegają mieszkańcy północno-wschodniej przestrzeni pogranicza kultur (przy sowieckiej granicy). Obserwujemy losy Polaków rzuconych w "kocioł" Rosji Radzieckiej, a także na antypody syberyjskiej niewoli (w łagrach sowieckich i "zwyrondniatych" kołchozach).

Przekonywająco - jak i dramatycznie - prezentuje się nacechowana głębią przeżyć prywatnych, zbiorowych i psychospołecznych tzw. "dola człowiecza". Nasze myśli i emocje ogarnia tu swoisty laicki personalizm - ów punkt widzenia czyni z tekstu rodzaj hagiografii, a z bohatera - idola, który cierpi winy niezawinione. Jest on ofiarą naszej ciemności historii, naszych grzesznych losów zbiorowych.

Problematyka dramatów etycznych, jak i same opisy wyborów światopoglądowych prowadzone są w ciągach żywej, plastycznej akcji. Wiedza o człowieku - odkrywana najczęściej w chwilach przełomowych - o jego głębszej, cieniejszej naturze, ujawniająca się w chwilach ekstremalnych - to wszystko wraz z rozległymi wątkami "tułaczki świadomości" buduje wymiar absurdałnej tragiczności.

Nie tylko pojedynczy los ludzki stanowi w powieści ogniskową zainteresowań; także pogmatwane, splecione ze sobą losy innych postaci. Dramat rozbitej, zdeintegrowanej tkanki zwyczajnej, szarej codzienności, gdzie - na ruchomych piaskach - nie ma żadnego punktu oparcia, bowiem w przestrzeni totalitaryzmu nie istnieje żadne humanistyczne podłoże.

**fragmenty recenzji
Ryszarda Chodźki**

Jan Baranowski *Dlaczego oni nie urosli*. Białystok 1994. Oficyna Wydawnicza Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury.

STYKI I PRZYTYKI

... o subkulturze

Jakie są kierunki i trendy w tzw. kulturze młodzieżowej? Jak funkcjonują grupy subkultury młodzieżowej i czym się charakteryzują? Jaki wpływ na zachowanie młodych ma muzyka - oto pytania, na które starałem się uzyskać odpowiedź wśród słuchaczy Studium Tańca.

Pojęciem subkultury w ujęciu socjologicznym określana jest pewna podkultura, różniąca się od szeroko rozumianej kultury i posiadająca własne elementy kulturowe, uważane przez większość za mniej wartościowe, czy poślednie.

Subkultura zdaje się zawierać to co niższe, gorsze - twierdzi Anna Trochimeczuk, dodając jednocześnie, że żaden fakt kulturowy nie może być rozpatrywany odrębnie - i stąd subkultury młodzieżowe też należą do kultury.

Małgorzata Wrońska za podstawową cechę subkultury uznaje dobrowolność uczestnictwa. Za przykład podaje ruch hippisów, który cieszył się popularnością wśród młodzieży w latach 60-tych. Grażyna Stanisławska replikuje, że subkultura nie łączy tylko młodzieży. Zamknięte grupy społeczne istnieją wśród nas, a my czasami nie zdajemy sobie z tego sprawy. Członków takich grup łączy podobny styl życia, często wykonywanie takiej samej pracy, dążenie do określonego celu, wspólna przeszłość, idee życiowe.

Ta sama autorka charakteryzuje grupy młodzieżowe skupione wokół muzyki. Nazywa je odłamami, które wytwarzają własny świat i swoisty język porozumienia.

Grupy skinheadów czy punków wzbudzają w otoczeniu dreszczyk strachu i odrazy. Dlaczego tak się dzieje? Autorka sądzi, że duży wpływ ma na to wygląd i styl ubierania się. A co z ideami? Skinheadsi są ugrupowaniem silnie związanym z ideologią, o myśli przewodniej "Polska ponad wszystko" i "Polska dla Polaków". W książce pt. *Krucjata tysogłowych* możemy znaleźć treści mówiące o tym, że każdy skin powinien dawać dobry przykład innym Polakom, być zawsze czystym i zadbanym (ogolone głowy!!!), nigdy nie używać przemocy, a już na pewno wobec krajana. Tak wygląda to na papierze. A na ulicy? Najczęściej "łysych" możemy spotkać przy kilku butelkach taniego wina, a

swoją agresję wyładowują na przybyszach z zagranicy. Czy wszyscy? Tam gdzie rządzi prawo tłumu, jednostki się nie liczą.

Przeciwstawieniem skina są grupy spod znaku punk. Ich muzyka niesie antyfaszystowskie i antynacjonalistyczne treści.

Odłamem ruchu punk są ludzie skupieni wokół muzyki hard cord nazywani Straight Edge. Symbolem tego odłamu jest znak X, który oznacza skreślenie butelki, papierosa, strzykawki i nagiej kobiety. Ludzie spod znaku SE walczą z wpływami faszystów. Autorka odsyła zainteresowanych do pisma "Myśmy", które rozwija szerzej założenia Radykalnej Akcji Antyfaszystowskiej.

Jak widać wymienione grupy łączy arena polityczna, co przejawia się w tekstach utworów idoli poszczególnych grup.

Odmienny jest krąg kulturowy, który powstał w połowie lat pięćdziesiątych w Kingston - stolicy Jamajki. Mowa tu o muzyce reggae, którą stworzyły (podobnie jak bluesa) najbiedniejsze warstwy czarnych mieszkańców z tzw. working class. Nie jest to jednak (w przeciwieństwie do bluesa) muzyka smutku i rozpacz. Emanuje z niej radość życia. Rasta - najbardziej rozpowszechniona religia na Wyspach Karaibskich - stała się ideologią czarnych muzyków. Założycielem jej był Marcus Garvey. Do dziś religia ta ma wiele form. Jedni rastafarianie są za pełnym pacyfizmem i głoszeniem miłości, pokoju, inni (np. odłam najabingi) uważają wojnę rasową za jedyne, możliwe źródło zrzucenia jarzma i wyzwisku.

Ortodoksyjny rasta nosi fryzurę zwaną dread lock, przez co wyraża swoją siłę. Dready tworzą coś w rodzaju lwiej grupy, a lew uważany jest przecież za króla zwierząt. Rastafarianie sięgają często po "coś na dotarcie do wnętrza". Stąd w utworach muzycznych pojawiają się słowa wyrażające pragnienia zalegalizowania marihuany, haszyszu i innych roślin odurzających.

W latach sześćdziesiątych czarny gitarzysta z Jamajki odkrył rytm zwany dzisiaj ska. Muzyka ska to przede wszystkim radość i porywający do tańca rytm. Skankerzy to ludzie nie akceptujący wojny rasowej. Ich godłem jest czarno-biała szachow-

nica, która oznacza pojednanie ludzi o różnych kolorach skóry. Skankerzy nazywani też Rude Boys walczą w obronie zwierząt, a pielęgnując swoje poglądy wyrzekają się jedzenia potraw mięsnych.

Bardzo interesujący image grup subkulturowych zaprezentował Piotr Pykało. Zaliczył do nich:

Depesze - swój styl wzorują na liderze zespołu Depeche Mode, Dawidzie Gahan. Podobnie jak on noszą czarne skórzane kurtki, czarne spodnie i buty na grubej podeszwie. Nie głoszą żadnych haseł, nie mają odrębnej ideologii. Wiąże ich jedynie uwielbienie do zespołu DM i wspólna zabawa na dyskotekach.

Raperzy - każdy pretekst do buntu jest dobry - to ogólna charakterystyka raperów. Rapera zdobią kolorowe trampki, spodnie dżinsowe, jaskrawe szelki, obszerna bluza, na głowie czapka z odwróconym do tyłu daszkiem, na szyi łańcuchy, krzyże i srebrne "X".

Metalowcy - zwolennicy wzmocnionego rock'n'rolla, zwanego heavy metalem. W zależności od natężenia dźwięku i tempa gry, do słowa "metal" dodaje się: black, trash czy speed, ale głównie chodzi o to samo - czad i łomot. Ubierają się w obcisłe skórzane lub dżinsowe spodnie, skórzane kurtki, pasy nabijane ćwiekami. Noszą długie włosy, sprawiające wrażenie potarganych.

Krisznowcy - zmierzają do odrodzenia przez świadomą ascezę, pracę i modlitwę. Są wyznawcami hinduskiego Boga Krishny.

Andrzej Rudnicki odkrywa subkulturę "graczy giełdowych", którym oprócz kolorowych szelek maklerskich marzy się nieustająca hossa. Ubiorem różnią się od nowobogackich, którzy z kolei lubują się w noszeniu białych skarpetek do ciemnych garniturów.

Grupą o zbliżonych zainteresowaniach (zawodowych) są tzw. krawcy (kieszonkowcy). Autor ostrzega przed niebezpieczeństwem penetracji tego środowiska, tym niemniej udało mu się uchwycić wygląd krawca. Oto on: włosy zaczesane za uszami do tyłu na brylantynę, brązowa skórzana kurtka, spodnie Levisy z szerokimi nogawkami u dołu, buty w granicach od 1,5 do 6 mln zł. W autobusach działają w trójkę.

Ten sam autor stawia pytanie: *Czy my, tancerze, jesteśmy subkulturą?* I odpowiada: *W pewnym stopniu tak, ale tylko wtedy, gdy będziemy się identyfikować tylko z tańcem i gdy z nami nie będzie można porozmawiać na żaden inny temat, niż taniec.*

Alicja Makuła sygnalizuje pojawienie się w Polsce nowej mało znanej jeszcze

grupy goci. Charakteryzuje ją poprzez horror, czarne koty, świece, mrok, czarny lakier, biały puder, mroczną muzykę i Dramatule.

Agnieszka Jastrzevska przytacza strofy z piosenki, którą śpiewa wspólnie w grupie znajomych, tworzących scholę akademicką:

*Świat nie jest taki zły
Gdy ludzi łączy miłość
Świat nie jest tak okrutny
Kiedy ludzi łączy pokój.*

Celem tak rozumianej subkultury jest utrzymanie tradycji wspólnego śpiewania Bogu, w myśl św. Augustyna *Kto śpiewa - dwukrotnie się modli*.

Żanetta Cis doszukuje się w filozofii młodzieżowej subkultury analogii do dawnej bohemy artystycznej np. Młodej Polski. Zdarzają się odczyty własnej poezji, wynurzenia filozoficzne, a przede wszystkim świeże wrażenia i obserwacje codzienności, wspólna krytyka zła, poszukiwania samego siebie, swojego miejsca w życiu. Autorka zadaje pytanie: kto wie, czy po latach te jeszcze niezupełnie dojrzałe przemyślenia, nie zaowocują skomponowaną muzyką, pomysłem na realizację utworu literackiego, czy orzeźwiającego happeningu. Jej zdaniem zjawiska wynikające z subkultury są niepokojące, ale inspirujące. Twierdzi, że człowiek nadal jest niepoznany, a wszystkie jego problemy otwarte. I może właśnie dlatego życie, mimo wielu swych złych stron, jest intrygujące i fascynujące.

O uczuciach i myślach ludzi będących w tłumie pisze de Bon w swojej pracy pt. *Psychologia tłumy*. Porównuje zachowania grup subkulturowych do zachowań tłumy. *W tłumie zanika świadomość własnej odrębności, a uczucia i myśli wszystkich jednostek mają tylko jeden kierunek. Powstaje jakby "zbiorowa dusza". Cechą tłumy jest nie tylko impulsywność i zmienność, ale nie zezwoli on także, aby zaistniała przeszkoda na drodze do urzeczywistnienia jego żądań.*

Wniosek z tego płynie dość jasny: siłą subkultury jest zwartość grupy i image lidera.

Piotr Pykało zachęca do postawienia i odpowiedzenia sobie na pytanie: czego młodzież poszukują w subkulturach? Co jest powodem, że nie mogą znaleźć zrozumienia w swoich domach?

W pewnym sensie odpowiada mu Alicja Małucha, twierdząc, że *młodzież gniewni szukają wciąż czegoś nowego, nietypowego*. Zazwyczaj są nieszkodliwi, a biją się najczęściej między grupami, odtłami, szajkami. Więc nie wpadaj w panikę (czytelniku) na widok wyćwiczowanej kurtki na ulicy.

Zebrał:

Kazimierz Maksymilian Derkowski

CO W PRASIE PISZCZY

Tarnów po raz drugi

Po raz drugi w dniach od 5 do 10 czerwca spotkają się w Tarnowie dziennikarze prasy polonijnej. Trwające pięć dni Forum będzie bogate w wydarzenia publicystyczne, kulturalne, towarzyskie. Stanie się również oficjalną "otwartą" premierą **Polskiego Stowarzyszenia Prasy Lokalnej**.

Sytuację Polaków na świecie można przedstawić jako specyficzny trójkąt. Jego podstawę stanowi ojczyzna, jednym bokiem jest - polska emigracja na Zachodzie, drugim - Polacy zamieszkujący w krajach byłego ZSRR. Taki podział jest bardzo wyraźny. Dziennikarze z Litwy, Ukrainy, Łotwy wyraźnie to podkreślają: my nie jesteśmy emigracją! My tam mieszkamy od pokoleń.

Polacy na Wschodzie i Polacy na Zachodzie to dwie zupełnie różne enklawy. Wspólny tu jest język i kultura polska, historia i serce, ale cała reszta jakże odmienna. Jedni ukształtowani przez cywilizację zachodnią, europejską, nie mają większych problemów materialnych, żyją jakby w innym świecie. Ci drudzy, ze Wschodu, mają w sobie pierwiastki bliskie kulturze azjatyckiej, wciąż borykają się z kłopotami materialnymi, technicznymi i politycznymi. Ale dzięki temu więcej w nich polskiego żaru, specyficznej słowiańskiej duchowości. W momencie bezpośredniego spotkania wszystko to staje się nieważne. W takich momentach te dwie jakże różne polskości zbliżają się do siebie na ojczyściej ziemi.

Białostockie Centrum Prasy Lokalnej

Jak wygląda organizacja prasy lokalnej określona jako **Białostockie Centrum Prasy Lokalnej**? Nie jest to schematyczny sztywny twór, mający ściśle określone struktury. W początkowych założeniach miało to być jednoosobowe stanowisko zajmujące się katalogowaniem, dokumentacją wszystkich tytułów gazet lokalnych ukazujących się na terenie województwa białostockiego. Rubryka *Co w prasie piszczy* byłaby w tym układzie powieleniem przeglądu prasy lokalnej prezentowanego w kilku dziennikach wojewódzkich. Ostatni Ogólnopolski Sejmik Wydawców Prasy Lokalnej upewnił mnie w słuszności dokonania pewnej korekty wcześniejszych założeń. Białostockie Centrum

Prasy Lokalnej w swoim działaniu nadal będzie koncentrować się na szeroko pojętej pomocy różnym redakcjom gazet lokalnych naszego województwa. Dokumentowanie ukazujących się tytułów, w miarę nadsyłania poszczególnych egzemplarzy przez redakcje, umożliwi stworzenie swobodnego ośrodka informacji o tych tytułach. Dalsze działanie tego typu komórki w ramach WOAK-u wymaga wprowadzenia pewnych zmian.

Pierwsza to konieczność wprowadzenia deklaracji pisemnej o chęci współpracy w ramach Białostockiego Centrum Prasy Lokalnej. Wiąże się z tym obowiązek przysyłania do siedziby Centrum po jednym egzemplarzu każdej gazety. W stopce redakcyjnej gazety powinna pojawić się informacja o przynależności do Centrum takiego tytułu.

Wraz z przynależnością do Białostockiego Centrum dany tytuł stanie się członkiem Polskiego Stowarzyszenia Prasy Lokalnej (Białostockie Centrum Prasy Lokalnej jest członkiem tego Stowarzyszenia). Przynależność ta umożliwia korzystanie ze wszystkich przywilejów jakie stosuje to Stowarzyszenie wobec swoich członków (wymiana reklam w ramach Banku Reklam, bezpłatne otrzymywanie i możliwość przedruku materiałów zamieszczanych w miesięczniku *REDAKTOR* - organ Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Prasy Lokalnej, możliwość uczestnictwa w ogólnopolskich szkoleniach organizowanych przez to Stowarzyszenie).

Prasa zrzeszona w Białostockim Centrum Prasy Lokalnej będzie mogła liczyć na szeroką pomoc Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury, a w szczególności: pomoc w szkoleniu pracowników obsługujących skład komputerowy, pomoc w opracowaniu technicznym i merytorycznym pisma.

W przyszłości, pomoc dla pism zrzeszonych w Białostockim Centrum Prasy będzie rozszerzana.

Jak widać przynależność do Centrum to nie tylko obowiązki, ale również przywileje.

W miesiącu sierpniu i wrześniu do wszystkich redakcji pism lokalnych zostaną wysłane deklaracje, statut Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Prasy Lokalnej oraz informacje o działaniach Białostockiego Centrum Prasy Lokalnej. Wypełnienie tej deklaracji i przesłanie jej do Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku będzie równoznaczne z akceptacją zasad działania Centrum oraz z przynależnością do BCPL i OSPL. Przynależność do obu tych organizacji nie pociąga za sobą żadnych zobowiązań finansowych.

Krzysztof Ostaszewski

Z Pawłem Sławomirem Szymańskim - aktorem Białostockiego Teatru Lalek, asystentem Wydziału Sztuk Lalkarskich PWST rozmawia Dorota Lewczuk

Spod jakiego jesteś znaku?

Raka.

Czy to znaczy, że Rak jest pracowity? Jesteś przecież aktorem, wykładowcą, komponujesz, śpiewasz, wiem, że ostatnio reżyserowałeś.

Tak, z całą pewnością tak. Oprócz tego jestem ojcem, mężem, niespokojnym twórcą, który poza dziedzinami teatralnymi szuka realizacji muzycznej.

Co w życiu zawodowym jest dla Ciebie najważniejsze: teatr, szkoła, komponowanie? Czy można mówić o takiej hierarchizacji?

Na pewno teatr! Wydaje mi się, że w tej chwili bez niego nie potrafiłbym żyć. Fascynuje mnie w teatrze pewna zmienność. Każdy dzień jest nowym wyzwaniem. W zawodzie aktora jest coś niepowtarzalnego. Muzyka, poszukiwanie reżyserskie to dopełnienie mego bytu teatralnego.

Co Cię pchnęło w stronę teatru, aktorstwa? Może już "od kołyski" wiedziałeś, że twoim powołaniem jest scena?

Nie, sprawił to czysty przypadek. Otóż w 1982 r. ówczesny kierownik muzyczny białostockiego Teatru Dramatycznego - Tadeusz Dziemski zaproponował mi intermedia muzyczne w spektaklu *Kochankowie* z *Werony* J. Iwaskiewicz. Było to moje pierwsze spotkanie z teatrem. Zrozumiałem, że teatr i wszystko co z nim związane - to właśnie to! Zdecydowałem się zdawać do szkoły teatralnej. Podjąłem studia na Wydziale Sztuk Lalkarskich PWST. Tam zetknąłem się z mnóstwem ciekawych postaci. Wcześniej mogłem jedynie marzyć, że ich dośięgnę, dotknę, spotkam się oko w oko. Dziekan ówczesny Tomasz Jaworski, dziś już legenda Jan Wilkowski, Barbara Muszyńska, Piotr Damulewicz, Waldemar Śmigasiewicz, Bogdan Głuszczyk, Jan Plewako i wielu innych, nie sposób ich wymienić - to osoby, które mnie kształtowały. Nie jestem w stanie dokładnie określić ich zasług, procentują one w życiu.

Ostatnio długo nie było Ciebie w Białymstoku. Co w tym czasie robiłeś?

Półtora miesiąca byłem w Olsztynie. Po raz pierwszy, samodzielnie, z listem polecającym od Joanny Piekarskiej reżyserowałem sztukę.

Była to *Baśń o dwóch nieustraszonych rycarzach* Jana Ośnicy. Spektakl ukończyłem, myślę, że z dobrym efektem scenicznym.

Jesteś więc zadowolony z pracy, a jak się czujesz jako reżyser?

Dla mnie było to spotkanie po drugiej stronie - ja, aktor - jako reżyser. Mój dystans do aktorów jako reżysera nieprofesjonalnego. Nie wiem, czy dane mi jeszcze będzie reżyserować. Owszem pociąga mnie to. Chciałbym. Jednak czy warunki pozwolą, czy znajdę interesujący temat do spełnienia reżyserskich?

Nie był to jednak twój reżyserski debiut. W 1992 r. z Barbarą Rau, Adamem Zielenieckim i Mirosławem Wieńskim zrealizowaliście "Małego Tygrysa Pietrka". Spektakl, który ma na swoim koncie wiele nagród.

Tak, "Tygrys Pietrek" to takie moje, a raczej nasze pierwsze dziecko. Robiliśmy ten spektakl



w ramach sceny propozycji aktorskiej. Chyba nam się udało, podoba się widowni. Kilka miesięcy temu dostaliśmy sympatyczne zaproszenie. Fumiko Matsuzawa z japońskiego instytutu teatralnego zaprosiła nas na festiwal "J love you" do Japonii. W sześciu miastach zagramy kilkanaście spektakli - po japońsku. Yosiko Kujama tłumaczy nam *Małego Tygrysa Pietrka*, musimy się tego wszystkiego nauczyć i 21 lipca, mam nadzieję, odleciemy do Japonii.

Czy twoim zdaniem telewizja, wideo, pozbawia teatr widzów?

Teatr proponuje inny rodzaj magii, uczy podstawowych emocji: rozpoznawania drobnych

niuansów kolorów, przestrzeni, światła, dźwięku i w tym nigdy nie zastąpi go telewizja. Myślę, że teatr we współczesnym świecie jest rodzajem "księgi obyczajów". Teatr uaktywnia w widzu emocje, podnosi temperaturę, buduje więź między widownią a sceną w czasie spektaklu. W końcu wszyscy ludzie ulegają wzruszeniom. Czy lepiej wzruszać się widząc wzruszenie, ale za szkłem telewizyjnym? Każdy musi sam odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Jak to się stało, że tak młody człowiek jak ty obchodzi piętnastolecie swego bycia scenicznego?

W 1979 roku w białostockim klubie "Promenada" odbywały się Miejskie Eliminacje Piosenki Polskiej. Byłem wówczas uczniem szkoły muzycznej, klasy gitary, trochę śpiewałem, próbowałem pisać muzykę. Wraz z Barbarą Krahell i Bożeną Hutnik - koleżankami ze szkoły - postanowiliśmy wystartować w tychże eliminacjach. To był mój pierwszy krok na "scenę". Scenę, którą bardzo szeroko rozumiem, bo to jest teatr, bo to jest piosenka, monodram, plastyka itd.

W lutym minęło 15 lat mojego bycia scenicznego w różnych formach: człowieka piszącego muzykę, występującego, śpiewającego, grającego na deskach filharmonii, potem teatru.

Co sądzisz o kulturze, o życiu kulturalnym w Białymstoku?

Kultura to taki twór, gdzie tradycja miesza się ze współczesnością; żaden z twórców nie może być obojętny wobec spuścizny, którą zostawiły mu poprzednie pokolenia.

Życzylbym sobie, żeby życie kulturalne w Białymstoku bardziej tętniło, było barwniejsze. Mamy dwa teatry: dramatyczny i lalkowy, powstają teatry niepaństwowe, nieprofesjonalne, jest wspaniała filharmonia, muzea, biblioteki. Nie ma jednak czegoś, co można by nazwać forum luźnych spotkań i wypowiedzi artystów. Spotkań, które ułatwiłyby nam funkcjonowanie. Wiem, że każdy jest zapracowany, że wszystkim tego czasu brakuje. Gdyby jednak był jeden dzień w tygodniu, powiedzmy poniedziałek, godzina dwudziesta druga - wyzwanie dla artystów - spotkajmy się, poimprovizujmy. Te go mi właśnie brakuje.

Również życzylbym sobie w Białymstoku wyrobionego widza, życzylbym temu miastu dobrych, sprawdzonych krytyków, którzy w sposób bezpretensjonalny i rzeczowy mogliby ocenić sztukę. Nam wszystkim natomiast życzylbym "grubszych portfeli", aby wyjście do kina, teatru czy muzeum nie nadwierało budżetu domowego, oraz żeby doba miała 75 godzin.

Lata śpiewem pisane

Zespoły folklorystyczne powstają z potrzeby serca, z tradycji pieśni przekazywanych z pokolenia na pokolenie. To one przyczyniają się do zachowania i upamiętnienia ginących bezpowrotnie perełek twórczości ludowej.

W końcu stycznia tego roku obchodził 20-lecie swego istnienia **Folklorystyczny Zespół Śpiewaczy Orzeszki** z Orzeszkowa w gminie Hajnówka. Powstał z inicjatywy **Niny Owerczuk**, kobiety obdarzonej energią i zmysłem organizacyjnym, a także dobrym, dynamicznym głosem i dużą muzykalnością. Członkinie zespołu śpiewają

stare pieśni ludowe, przekazane jeszcze przez praprababcie i prapradziadków.

Ludowe śpiewaczki na co dzień zajmują się ciężką pracą na roli i w gospodarstwie, a tylko chwile wolne, czas przeznaczony na odpoczynek, poświęcają umiłowanej sztuce. Śpiewają i grają, a nawet tańczą. Takie w nich zdolności!

Orzeszki - to zespół wokalny i teatralny zarazem. Wznawia na scenie różne obrzędy ludowe oraz co ciekawsze epizody z życia codziennego w puszczańskich wsiach (Puszcza Białowieska). Robi to po mistrzowsku, w sposób jak najbardziej naturalny i swobodny.

- Zaczęło się w Orzeszkowie tak - mówi Nina Owerczuk - przyjechał do nas muzyk Aleksander Łukaszuk z Hajnówki. Zbiierał

pieśni obrzędowe, między innymi weselne, żniwne, związane z obrzędem chrztu i białoruskie "rohulki", które powoli idą w zapomnienie. Współpraca trwała dwa lata. Następnie przyjeżdżał do nas instruktor m.in. Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego - Jan Krupa. Założył u nas teatr.

W kronice zespołu odnotowano, iż pierwszy wyjazd z programem artystycznym był w kwietniu 1976 roku do Nowego Berezowa. A już w maju tegoż roku na przeglądzie zespołów folklorystycznych w Bielsku Podlaskim zespół zajął pierwsze miejsce. 20 czerwca 1976 roku zespołowi nadano imię *Orzeszki*. Podczas tej uroczystości wystawił on scenkę pt. *Wieczorynka*. Od tej pory co jakiś czas orzeszkowskie kobiety przygotowywały programy obrzędowe: *Korowaj, Kądzelnice* i inne. Ich skarbem repertuarowym był folklor.

I tak rosły *Orzeszki* jak na drożdżach. Rozwijały się same, kształciły widza i wciąż wzbogacały swój niezwykły repertuar. Zaczęły same układać scenki - improwizacje z życia wsi, okraszone piosenkami, przyspiewkami oraz zabawnymi przypowiadkami. Na próby schodziły się kobiety ze wszystkich siedmiu przysiółków. Tak jest i obecnie. Chociaż... Zdarzyło się, że przez dwa lata nie było o nich słyhać. Ot, taka kryzysowa sytuacja. Ale po tym wszystkim *Orzeszki* jakby się odrodziły na nowo. I gdy znów wystartowały, to od razu na pierwsze miejsca w różnych konkursach organizowanych dla folklorystycznych zespołów śpiewaczych. Między innymi w ubiegłym roku na centralnych eliminacjach konkursu *Piosenka białoruska '93* zespół z Orzeszkowa zajął drugie miejsce wśród zespołów wokalnych w kategorii folkloru autentycznego (pierwszego miejsca nie przyznano). Słuchaczy zachwyca wysoka muzykalność i poczucie rytmu. Występy tego zespołu mają w sobie wiele muzycznego uroku. Prezentuje on także kapitalnie brzmiące, wielogłosowe utwory.

29 stycznia tego roku Zespół Śpiewaczy *Orzeszki* obchodził 20-lecie swego istnienia. Ma on na swym koncie ponad 100 koncertów. Występy jego cieszą się dużym powodzeniem w okolicznych wsiach i miasteczkach. Wszędzie jest przyjmowany gorąco i serdecznie. Często prezentuje się na białoruskich festynach ludowych, które mają na Białostoczczyźnie piękną tradycję i własny styl. Bez nich, bez *Orzeszków*, w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie obeszło się wiele lokalnych imprez kulturalno-rozrywkowych i obrzędowych (w tym m.in. Kupalnocka w Białowieży). Przyczyniły się do spopularyzowania wielu ludowych pieśni białoruskich, które dziś stały się własnością powszechną.

Jubileusz w Rodzinie

Spółdzielnia Mieszkaniowa "Rodzina Kolejowa" to jedna z niewielu spółdzielni, która do dnia dzisiejszego prowadzi działalność społeczno-wychowawczą. Ta działalność jest naszą działalnością statutową poza oczywiście inwestycjami - mówi **Bożena Dadura** - koordynator działalności społ.-wych. S.M. "Rodzina Kolejowa". - Na terenie naszych osiedli działa pięć klubów: "Puchatek" na Osiedlu Przydworcowym, "Relaks" na Osiedlu Młodych, "Jubilat" na Sadach Antoniukowskich, "Kalina" na Dzieśięcinach I oraz klub na Dzieśięcinach II. Ponadto na "Wysokim Stoczku" znajduje się pracownia modeli redukcyjnych, której prace zajmują czołowe miejsca w różnego rodzaju pokazach, przeglądach i mistrzostwach. W sumie we wszystkich placówkach zatrudniamy jedynie pięciu pracowników merytorycznych oraz instruktorów na umowy-zlecenia. Kluby utrzymywane są z odpisów na fundusz społeczno-kulturalny.

W placówkach SM "Rodzina Kolejowa" działa ok. 50 zespołów, pracowni i kół zainteresowań skupiających ponad 5 tys. osób. Starsi mieszkańcy osiedli śpiewają w dwóch chórach: "Cantylena" i Chórze Kombatanta, młodzież gra w 11 zespołach od muzyki dawnej do hard rocka. Działają kółka teatralne, plastyczne, tańca nowoczesnego w różnych grupach wiekowych, koło wędkarskie, koło tkactwa artystycznego, gdzie można nie tylko mile spędzić czas, ale i czegoś się nauczyć.

Ponieważ, przynajmniej w części, kluby muszą na siebie zarobić, są w nich prowadzone zajęcia odpłatne: kursy językowe, rytmika, aerobik, nauka gry na pianinie i keyboardzie, ogólnie muzyczne. *Staramy się, aby w naszych placówkach każdy mieszkający na osiedlu mógł coś dla siebie znaleźć. Kluby są w zasadzie jedynym miejscem spotkań ludzi starszych. Współpracujemy więc z kołami emerytów i re-*

cistów. Wspólnie organizujemy okolicznościowe imprezy, w których zwykle uczestniczy od 100 do 150 osób. Tradycją są już osiedlowe choinki, półkolonie dla dzieci organizowane razem z TPD i ZHP. Rok rocznie odbywają się festyny z okazji "Dnia Dziecka", podczas których można obejrzeć i tresurę psów, i pokazy jazdy konnej, przejechać się bryczką, wziąć udział w najrozmaitszych konkursach.

Organizacja wszystkich tych imprez i działalność w klubach nie byłaby możliwa, gdyby nie pomoc zaprzyjaźnionych osób - entuzjastów, rad młodzieżowych, osiedlowych i przychylności zarządu oraz rady nadzorczej. Członkowie rady wyszli ze słusznego założenia, że każde dziecko w klubie to jedna mniej możliwość polamania drzewka, wybicia szyby, po prostu dewastacji. Jeżeli dzieci będą miały możliwość "wyżycia" się na zajęciach w pracowni, to nie pójdą do piwnic palić papierosów, piąć sprejem, chulić.

Spółdzielnia Mieszkaniowa "Rodzina Kolejowa" w tym roku obchodzi 35 rocznicę powstania. Jubileusz ten postanowiono zaakcentować nie wielką fetą, ale prezentacją tego, co istnieje i rozwija się. Od kwietnia trwają imprezy i pokazy. Odbył się turniej piłki siatkowej o Puchar Prezesa, turniej tenisa stołowego. Zorganizowano rajd pieszy do Muzeum Wsi Białostockiej, w którym uczestniczyła młodzież i dorośli ze wszystkich osiedli, rajd rowerowy do Katrynki z ogniskiem, zabawami i konkursami. W klubie "Jubilat" odbyły się prezentacje młodzieżowych zespołów muzycznych, chórów: "Cantylena" i Kombatanta. W "Relaksie" zaprezentowały się zespoły teatralne. Od 5 VI - w klubie "Kalina" trwają wystawy: fotograficzna - "Nasza Spółdzielnia" i modeli redukcyjnych. W połowie czerwca w klubie "Dzieśięciny II" zaprezentują się młodzieżowe zespoły taneczne.

SM "Rodzina Kolejowa" serdecznie zaprasza na wszystkie imprezy nie tylko członków Spółdzielni, ale wszystkich mieszkańców miasta.

DL

Jan Cietuszecki

Z zapiśnika

Jak w koleiny serdeczne, żłobione przez lata, napełniane ciepłymi wspomnieniami, zapada pamięć. I podnoszą się z ziemi pogubione chwile, powstają z dziecięcego letargu zaledwie zarysowane dobrocią obrazy. I choć skrada się dziecięcy lęk, choć mami ale i odstrasza dorosłość jeszcze w dziecięctwie niepoznana, niekosztowana - to tamten czas jawi się czymś być szlachetnym, ludzkim. Nawet kromka chleba posypana cukrem i polana wodą, żeby się lepiej trzymał - po latach nieprzyjemnie szeleści w zębach. Liza-ki odpustowe, maczki po których wędrowały natrętne muchy, wata cukrowa na patyku - dzisiaj nie ma już w sobie tamtego uroku. Miast je kosztować wystarczy zanurzyć się z ich obrazem dobytym ze wspomnień w tamten czas odeszły, dołączyć do nich twarz matki, jeszcze młodej, uśmiechniętej, chwycić w swojej dorosłości i bezradności opuszczenia tamtą dłoń ojca sprzed czterdziestu czy pięćdziesięciu laty - aby wywołać wędrowanie radosne. I nawet wspomnianie dobywać trzeba w pozycji embrionu jakby w tęsknocie do tamtych wód matczynego wszechświata, kosmosu. A ja wciąż wracam i sądzę, że wielu ludzi powraca w tamte dziecięce progi, kiedy można już odrzucić błyskotki i spełnienia świata dorosłego, kiedy kompleksy chłopskiej chaty, biedowania wspólnego - przypominają sny, wracające na łąki, do wsi rodzinnej, śpiewającej pieśni zdawałoby się dawne zapomniane. Po latach tęsknoty powraca i powraca ludzkie sumienie, uspokojone, uwolnione od zgiełku świata, z medytacyjnym odmaowaniem zdrowasiek różańca. Wraca tamten świat. I napowrót można się rozkoszować dobrocią świata minionego. I nawet nie żał, że czas płynie, że życie przemija. Tamte obrazy mają napowrót, pozwalają człowiekowi wierzyć, że znowu uczuje ciepło ojcowskiej dłoni, wtulę się po koszmarnym śnie w poduszkę rodziców, którzy przed chwilą wstali z łóżka i wtopili się w dorosłe życie. I poczuję zapach potu, ciepła, które jest bezpieczne. Nie potrafię nazwać tego odczucia. Gubią się, płaczą zdania. To dzieciństwo, to czas miniony, to także pamięć najbliższych z drugiego brzegu życia, którzy trwają w pamięci, rozbudzają ją do powtórných spotkań.

Po czterdziestu latach moje wspomnienia czepiają się uparcie matczynej spódnicy. Pola przeciągają się jakimś wiosennym niedospaniem, w oczy kłują swoim żarem pęczniejące od światła mleczce. Na łąkach miękkie kaczuszki pod bosymi stopami prowadzą w krainy nieznane a wytęsknione. I

mały grosik w kieszeni czeka na odgłos kukulki. I ciepło matczynej dłoni uspakaja serce. I zdania, które sypią się pod nogi, radosne jak w dzień Bożego Ciała sypane kwiatki. I drzewa obliapiane dzieciństwem, na których gałęziach siedząc śpiewaliśmy jakieś głupie rymowanki - gną się teraz w pokłonach. To sny, które nawiedzają po latach, wpisują się w wyrzuconych sztambuchach, przywołują twarze coraz piękniejsze życzliwością, dobytą z kufra serdeczności. Jakby wiersz miał spłynąć w ten obraz, być może kliwy, sentymentalny, grafomaństwem rażony...

Ale tak być nie może. Wciąż czuję ciepło dłoni moich rodziców. Moje dłonie dziecięce są zarazem dłońmi człowieka dojrzałego, jakby te dwa czasy zwały się ze sobą, połączyły więzami niezauważalnymi i potrzebują wciąż ciepła od którego postarzałe i zmęczone serce, na powrót wraca w swoje koleiny, przywraca oddech spokojny i każe wierzyć w życie.

Ale tamten czas odszedł. Kiedyś gdzieś zapisałem, że kiedy umieram ostatni z rodziców, drzwi do dzieciństwa zatrząskują się z nagłą. Chwytam się tym bardziej kurczowo tamtych kolein życia. I posyłam je do Ciebie, Mój Tatko, Moja Mamo. I kiedy jest mi źle, kiedy ciemność i ból zalewają oczy - modlę się do was i o ratunek błagam. Pomóżcie mi odnaleźć tamte pogubione koleiny dzieciństwa.

Jan Leończuk

KOMPAKTOWISKO

Kilka lat czekali wielbiciele zespołu **Pink Floyd** na jego kolejną płytę i kiedy w końcu ukazała się, rozpętała wojnę między jej zwolennikami i przeciwnikami. Album **The Division Bell** trafił bowiem z jednej strony na starych fanów zespołu, z drugiej zaś na młodzież, która jeżeli zna **Dark Side of the Moon** to tylko z wielokrotnego przesłuchania, bo nie pamięta euforii, jaka towarzyszyła krążkowi jeszcze kilka lat po jego wydaniu. Dla całkiem młodej młodzieży jest to jedna z tysięcy płyt jakich słuchali jej ojcowie i którą w zasadzie da się wysłuchać także dzisiaj.

Oczekiwania starych fanów **Pink Floyd** były więc ogromne. Zwłaszcza, że trzy ostatnie płyty zespołu nie wnosiły niczego nowego, były jakby kopią **The Wall**, która też czerpała z **Ciemnej strony księżyca**. Tymczasem fani przez cały czas liczyli na cud, czyli na kolejne objawienie, które byłoby w stanie dokonać kolejnego przełomu w ambientnej muzyce rockowej. I nie doczekali się.

Głównym minusem płyty "The Division Bell" jest brak na niej mózgu czyli pomysłodawcy, wielkiego reżysera jakim był **Roger Waters**, twórca także głównych i charakterystycznych zwrotów melodycznych, dzięki którym nawet prosta piosenka była identyfikowana z grupą **Pink Floyd**. Waters przeniósł te elementy na swoje indywidualne płyty, przez co jego muzyka mylona jest często z twórczością **Pink Floyd**. Pozostali muzycy nie potrafili stworzyć kilku dziesięciominutowej suity, jakimi niegdyś były płyty **More** czy **Atom Heart Mother**.

Stąd też "The Division Bell" jest tylko zbiorem kilkunastu mniej lub bardziej udanych piosenek. I bardzo dobrze. Nigdzie nie jest bowiem powiedziane, że **Pink Floyd** musi już zawsze

tworzyć wielkie struktury, oparte na filozofującym libretto. **Chopin** pisał prawie wyłącznie krótkie kawalki i wcale z tego powodu nie jest w historii muzyki traktowany gorzej niż **Bach** czy **Beethoven**.

Otóż głównym plusem płyty jest jej profesjonalizm w każdym calu. Jest to po prostu kawał doskonałej, świetnie zagranej - a wcześniej napisanej oraz zaaranżowanej - i nagranej muzyki. Muzyki operującej bardziej instrumentem akustycznym niż elektrycznym, na którym położona zostaje ciągle przejmująca gitara **Gilmoura**. Tego słucha się wspaniale. I nie jest ważne czy włączymy płytę na trzecim utworze od końca czy też drugim w kolejności, co nie było bez znaczenia w przypadku "Dark Side" czy tym bardziej "The Wall", gdzie jedna piosenka wychodziła z poprzedniej, nie mówiąc już o ciągu logicznym tekstów.

Z dotychczasowych badań wynika, że płyta "The Division Bell" bardziej podoba się młodszemu słuchaczom niż tym starszym, którzy często traktują **Pink Floyd** jak żywy pomnik i spodziewają się po nim cudu. O sile tego zespołu, o jego żywotności decyduje fakt, że jest on w stanie przyciągnąć do siebie kolejne pokolenie słuchaczy, w tym także brytyjskich, bo tradycyjnie już mniej amerykańskich. W USA trzeba było dokonać zagrywki reklamowej, żeby płyta poszła w odpowiedniej ilości. Otóż ogłoszono tam, że w pierwszym dniu płyta będzie tańsza niż w drugim. A w tym drugim dniu za **Pink Floyd** w droższych sklepach życzono sobie 32 dolary, co jest - jak na kompakt - sumą oszałamiającą. Dzisiaj płytę po kolejnych obniżkach - też oczywiście w poszczególnych sklepach - można kupić za 10 dolarów. Co też uczynił Wasz

Mr. CD

Skrybolandia

Ulubiona gra - to pierwsza powieść **Leonarda Cohena**, ukazująca się po polsku. Być może wielu miłośników pieśniarskiego kunsztu Cohena nie wie nawet, że jest on również autorem dziesięciu tomów poezji nieśpiewanej i prozy. Dwie jego najsłynniejsze powieści - właśnie *Ulubiona gra* i *Piękni przegrani* - to powieści porównywane przez amerykańską krytykę literacką z najgłośniejszymi książkami Salingera i Kerouaca.

Ulubiona gra, która ukazała się już na początku lat sześćdziesiątych i wywarła spory wpływ na rodzącą się wówczas kontrkulturę świadomość "młodych gniewnych", jest książką autobiograficzną, podróżą od dzieciństwa do wieku kiedy wchodzi się w dorosłe życie. Jest zapisem procesu odkrywania świata i samego siebie, rodzących się fascynacji erotycznych - od bardzo wczesnych adoracji do zdumienia wywołanego konstatacją, że bardzo często gorczy rozczarowań wplecioną jest w kruchą i delikatną tkanę miłości. Ta problematyka zajmowała zawsze centralne miejsce w całej twórczości artysty. Cohenowska specyfika przedstawienia tych problemów polega na przemieszaniu czułości, delikatności, cierpienia, ironii i autoironii, co daje słodko-gorzki amalgamat nieodłącznie związany ze wszystkimi formami literackimi, w jakich artysta się wypowiada.

Za wszystkim co pisze Cohen, stoi jego ogromna wrażliwość, a może nawet nadwrażliwość i wielokulturowość. Ciągłe poszukiwanie sensu i prawdy w kulturach i religiach (od judaizmu po zen), ogromna erudycja, skłonności do mistycyzmu a zarazem trzeźwej, czasem okrutnej samooceny sprawiają, że nawet opisy najprostszycy doświadczeń nabierają u Cohena wymiaru metafizycznego i symbolicznego. Tą drogą idzie poeta od ballady *Zuzanna* i prozaik od *Ulubionej gry*.

Polskie wydanie książki poprzedzone zostało wywiadem przeprowadzonym niedawno, co stanowi swego rodzaju suplement do powieści, inny zaś rodzaj uzupełnie-

nia to kilka tekstów z przedostatniego albumu "I'm your man". Wszystko to w tłumaczeniu głównego polskiego "cohenologa" - Macieja Zembatego. Beczka miodu byłaby pełna, gdyby nie łyżka dziegciu. Spółdzielnia Wydawnicza "Anagram" nie przyłożyła się do redakcji i korekty. Pomijam już nawet mnóstwo denerwujących literówek, ale pisać "zygam" - to już lekka przesada. Dobrze, że chociaż "Cohen" nie jest przez "ch".



Niezależna Oficyna Wydawnicza NOVA wydała w elitarnym zaiste nakładzie tysiąca egzemplarzy mikropowieść **Andrieja Płatonowa** *Juvenilne morze*. Jeśli ktoś nie zetknął się z twórczością tego pisarza, niech to szybko nadrobi. Ja natrafiłem na pierwszą książkę Płatonowa *Osada pocztynińska* w latach siedemdziesiątych, kiedy najmodniejsza była literatura iberoamerykańska, a słynny realizm magiczny był dyżurnym tematem literackich salonów. I nagle okazało się, że już w latach trzydziestych w umacniającym się stalinowskim imperium żył pisarz, który stworzył własny świat realizmu fantastycznego najwyższej jakości. Stworzył zresztą o wiele więcej, bo również subtelną lecz bezlitosną krytykę całej absurdałnej utopii, realizowanej na gigantyczną, imperialną skalę. I również jako zjawiska pochodnego - tysięcy małych utopii podejmowanych przez jednostki z determinacją Syzyfa i wiarą Hioba.

Owo tytułowe juvenilne morze ma być ogromnym zbiornikiem wodnym, wydobytym w środku suchego stepu spod odpornej ziemskiej skorupy za pomocą łuku elektrycznego, uzyskanego z agregatu - dzieła rąk i umysłów inżyniera - fantasty i kołchozowego kowala samouka, ożywianych bolszewickim entuzjazmem dla kołchozowej hodowli. Pod płaszczykiem zaangażowanego produkcyjniaka Płatonow buduje swój świat, którego mieszkańcy łączą w sobie konkretność inżynierskiego myślenia, fascynację nauką i techniką z fantasmagorią i skłonnością do mistycyzmu. Świat ten opisuje pisarz z czułością i ironią, w sposób nawiedzony i somnambuliczny. Jego język - to integralna część tego świata.

Władza radziecka też "doceniła" tę twórczość i przez długie lata zabraniała publikowania utworów Płatonowa, spychając go w zapomnienie, a jeśli już się nim zajmowała to demaskując go piórami miernych lecz wiernych pisarzy jako "kułackiego agenta, wroga klasowego" czy "pseudo-artystę". Dziś trudno o lepszą rekomendację dla pisarza z byłego ZSRR.

Oby ta mała książeczka była pierwszą jaskółką renesansu pisarstwa Płatonowa, który jak mało kto na to zasługuje.



Gustaw Herling-Grudziński znany jest przede wszystkim jako autor *Innego świata* i *Dziennika pisanego nocą*. Jego nowa książka - *Sześć medalionów i Srebrna Szkatułka* - jest właściwie z pogranicza literatury pięknej i eseju o sztuce. Polecam ją zaś dlatego, że napisana jest pięknie i arcyciekawie.

Wśród wydawanych w ostatnim czasie książek sporo jest takich, które inspirację czerpią z malarstwa i życia malarzy. Na swój sposób robi to Llosa w *Pochwale macochy*, inaczej Joseph Heller w *Namaj to, jeszcze inaczej Vonnegut w *Sinobrodym*.*

Częściowo oparte na faktach, częściowo konfabulowane opowieści o malarzach, obrazach, zabytkach, pięknych przedmiotach, które stworzył czyjś geniusz, które żyły własnym życiem - to treść tej książki.

Dwa medaliony - to portrety miast włoskich Parmy i Sieny, a zarazem wyraz fascynacji włoską kulturą autora, dla którego ten kraj jest od wielu lat drugą ojczyzną. Dalsze cztery - to impresje o życiu i obrazach Caravaggia, Rembrandta, Vermeera i Ribery - artystów, którzy z różnych względów i w rozmaity sposób fascynują Herlinga - Grudzińskiego. Zamieszczona zaś na deser opowieść o losach pięknej i tajemniczej szkatułki - to opowiadanie z pogranicza romansu, kryminału i historii sztuki.

Książkę wydał starannie "Czytelnik", który wznowieniem *Innego świata* zapoczątkował także dziecięciotomową edycję dzieł wszystkich tego pisarza.

Roman Blank

Co było i będzie

W labiryncie talentów



AKWARELE

ANNY

GNIEWKOWSKIEJ

- *Robicie konkurencję BWA* - powiedział Jerzy Hermanowicz na wernisażu w **Małej Galerii Sztuki** istniejącej przy Wojewódzkim Ośrodku Animacji Kultury już od dwóch lat dzięki kierownicze pracowni działań plastycznych **Krystynie Kunickiej**. - *Jest tu tak ludzko* - dodał. I wiem o co mu chodziło, chociaż na akwarelach i fotografiach wystawionych w galerii nie było ani jednej postaci, a jedynie pejzaż, drzewa, trawy, liście...

W klubie działań teatralnych *Krecha* klebiło się od ludzi, ale nie byli to wysublimowani koneserzy, ani pieczeniarze odwiedzający samopas wernisaże profesjonalne. Dzieci, młodzież i starsi stali grupkami; rodzinnie i towarzysko złączeni przyjemnością spotkania się ze sobą i sztuką. Atmosferę podgrzewał **Ignacy Andrukiewicz**, którego repertuar okazał się niewyczerpany - od ballad Leonarda Cohena po frywolne piosenki studenckie.

Pejzaż w akwareli i fotografii połączył **Annę Gniewkowską** - lekarzkę i **Macieja Religę** - geologa; praca, którą wykonują daje im satysfakcję, ale nie wypełnia całego życia. Maciej Religa fotografuje od dawna, zajmuje go też astronomia i muzyka. Anna Gniewkowska, jak napisano w folderze wydanym z okazji wystawy, to *labirynt gęsto splecionych, licznych talentów a nade wszystko fascynująca osobowość o niezwykle wrażliwej naturze i pięknej powierzchowności. Lekarz medycyny - z jednej strony twardo stojąca na ziemi pani doktor, z drugiej dusza artystki. Często bierze do ręki oprócz pędzla także pióro, by wyrazić to co umyka naszej codziennej rzeczywistości, a stanowi jedyne w swoim rodzaju piękno istnienia.* Jej opowiadania już od roku goszczą na łamach *Styku*, a Oficyna Wydawnicza WOAK niebawem wyda ich zbiór. Akwarele Anny Gniewkowskiej, w przeciwieństwie do opowiadań ukazujących postawy ludzkie - przedstawiają przyrodę, ale są malowane tą samą subtelną i delikatną kreską, co proza. Pani Anna sprawia też takie wrażenie, jednak żeby pełnić jej zawód, trzeba być silnym człowiekiem, a wyrażenie niewyraźnego w twórczości wymaga silnej osobowości. Jak jest naprawdę, Bóg raczy wiedzieć. A może sprzeczność jest tylko pozorna?

Fotografie Macieja Religi wyglądają jak grafiki. Są piękne formalnie i zaskakujące. Twórca umie wydobyć ze zbanalizowanych fragmentów krajobrazu i przyrody ich nieoczekiwany urok i "podskórne" znaczenie.

Majowy wernisaż Anny Gniewkowskiej i Macieja Religi udowodnił, że jest szansa na to, aby "Mała Galeria Sztuki" stała się galerią autorską o swoim własnym obliczu i klimacie. Może tak się już nawet stało?

IW



Co było i będzie



FOTOGRAFIE

MACIEJA RELIGI



Konkurs poetycki O Buławę Hetmańską rozstrzygnięty

Jury konkursu pod patronatem Zbigniewa Irzyka przyznało następujące nagrody:

- Złotą Buławę Hetmańską zdobył Ryszard Skowroński z Prabut, woj. elbląskie
- Srebrną Buławę zdobyła Janina Kozak-Pajkert z Białegostoku
- Brązową Buławę Hetmańską zdobył Kazimierz Józef Węgrzyn z Istebnej, woj. bielsko-bialskie.

Równorzędne wyróżnienia otrzymali:

- Irena Słomińska z Białegostoku
- Radosław Romaniuk z Hajnówki
- Zbigniew Tanajewski z Goldapi

Puchar Prezesa ZG ZNP przyznano Irenie Słomińskiej.

Puchar Prezesa ZO ZNP przyznano Radosławowi Romaniukowi.

Ustalono, że nagrodę Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku w postaci druku zbioru poetyckiego zaproponuje się Janinie Kozak-Pajkert.

Zwrócono uwagę na wiersz *Rozczarowanie* Marka Brymora z Kalisza.

Prywatna nagroda Bronisławy Kaczor ze Szczecina przypadła Janinie Kozak-Pajkert z Białegostoku.

II Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Wiesława Kazaneckiego dla młodzieży szkół ponadpodstawowych ogłasza Grupa Literacka Hajnówka

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie zestawu 5 wierszy w 3 egzemplarzach, dotychczas nie publikowanych i nie nagradzanych. Prace, opatrzone godłem (to samo godło należy umieścić na zaklejonej kopercie, w której znajdować się będzie kartka z imieniem, nazwiskiem oraz adresem domowym i szkoły autora) należy przesłać pod adresem:

Sekretariat I LO im. M. Skłodowskiej-Curie, ul. Piłsudskiego 7, 17-200 Hajnówka w terminie do 15 sierpnia 1994 r.

Wręczenie nagród będzie miało miejsce podczas II Hajnowskiej Jesieni Poetyckiej w dniach 30.09. - 2.10.1994 r.

Dokładnych informacji udzielają: w godzinach 9.00-15.00 Sekretariat I LO w Hajnówce tel. 27-80, po godzinie 15.00 Jan Zalewski - tel. 27-08

Twins, czyli bliźniacy

Z bliźniakami nigdy nie wiadomo, zawsze może się wydarzyć coś tragicznego albo śmiesznego. Pisarze, którzy chcieli napisać rzecz interesującą, pełną przygód, perypetii coś - jakbyśmy to dziś powiedzieli - przygodowego, lub "odlotowego", biorąc na warsztat temat - bliźniacy - mieli zagwarantowany sukces. A było co nieco tych sławnych bliźniaków w dziejach ludzkości. Mityczni Dioskurowie - Kaster i Polluks - splodzeni przez samego Zeusa, założyciele Rzymu - Romulus i Remus - szczęśliwie wykarmieni przez wilczycę, czy choćby współcześni - bracia Kaczyńscy.

Po bliźniaczy temat sięgali najwybitniejsi: Szekspir, Mark Twain, Diodoros i Makuszyński. Najpełniej i chyba najwcześniej uczynił to dramaturg, komediopisarz starożytnego Rzymu **Titus Maccius Plautus** w "Komedii sobowótów", czy w sztuce "Bracia". Autor ten, słynący z przeróbek greckich utworów scenicznych, oparł się zresztą na t.zw. "temacie wędrującym" i zbudował misterną fabułę, wykorzystując bliźniacze zewnętrzne i psychiczne podobieństwo.

Tak więc, u Plauta szczęśliwy ojciec bliźniaków zabiera jednego z nich, powiadamia, w delegację służbową. Gubi go jednak w tłumie. Gubi bezpowrotnie. Synalek na szczęście znajduje opiekuna, rośnie, dorósł, robi karierę. Ojciec nie może przeżyć utraty dziecka i umiera. Dziadek nadaje imię zaginionego wnuka wnukowi, który pozostał w domu. Ten zaś, gnany bliźniaczą tęsknotą, wyrusza w świat, by odszukać braciszka, a siła i sugestia genów podtrzymuje w nim wiarę, że ten żyje. Zawrotna akcja, arcykomiczne powikłania, nieporozumienia, fabuła oparta na "qui pro quo", zamiany, perypetie i kłopoty. Same, jak to się dzisiaj mówi, przekrętki, czad, zadyma, kwadratowe jaja. Jest to raczej do oglądania niż do opisywania i czytania.

Nie było wprawdzie takiej całkiem publicznej okazji, by to obejrzieć, ale tu trzeba się trochę cofnąć, a raczej przesunąć w czasie i miejscu.

Otóż III rok Wydziału Sztuki Lalkarskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Białymstoku w ramach przedmiotu "sceny dialogowe", które prowadzi **prof. Andrzej Żarnecki**, dokonał śmiałego wyczynu, wystawiając całą sztukę na chwałę swej Uczelni. Rzecz jednak nie nazywa się "Bracia", lecz **"Twins, albo = Nie ma starszego brata = wgu Plauta komedia w dwóch**

aktach z prologiem, epilogiem". Autorem zaś opracowania jest wspomniany wyżej wykładowca Andrzej Żarnecki. Profesor autorem wystawionej w tutejszej uczelni sztuki - fakt bez precedensu jak dotąd.

Wariantowa wersja dzieła Plauta polega w grubym uproszczeniu na spolszczeniu i przybliżeniu realiów, nazwisk, na reinterpretacji faktów i fabuły, uaktualnieniu i uszlachetnieniu dygresji.

Co z tego powstało? Trudno będzie nazwać precyzyjnie ten gatunek. Pastisz? Colage? "Ukabarecona" komedia? Problem to dla teatrologów. O szczegółach można jednak trochę poddywagować. Co najbardziej zadziwia to wtręty dygresyjne poczynione przez autora tej parafrazy. Otóż Żarnecki włożył w usta postaci całe fragmenty tekstów, najpopularniejszych utworów dramatycznych polskiego repertuaru narodowego robiąc, jakby oko, przede wszystkim do aktorskiej braci, która jest profesjonalnie przygotowana do odbioru takiej feerii cytatów. Więc żart to? Quiz literacki? Szukanie porozumienia z widownią? Jest to nawet momentami zabawne, zastanawia tylko czemu owe teksty - cytaty ulegają przetworzeniu poprzez "naciąganie" ich do treści i fabuły Plauta? Owe odstępstwa inspirowane niestety sygnałami czysto werbalnymi, odbiera się jako satyryczne uszczypliwości o wybrzmieniu politycznym bądź społecznym, jako złote myśli o zasięgu ogólnoludzkim, bądź

kalambury. Powstaje jednak tutaj pewien niedosyt, gdyż jest to w efekcie działanie dość nieśmiałe, a czasem tylko zamierzenie. Zamiast satyrycznych razów - szczypanie, w miejsce zabójczej ironii - okrągła metafora. I nie tylko te zabiegi sugerują, że adaptator przedłożył dzieło, które nie jest doprowadzone do końca, że pokazał zaledwie etapy i kierunek swej dalszej pracy. Świadczyć o tym może także fakt, że spolszczył tylko imiona braci Menechma i Sosikla na Jana i Rocha Kowalskich, hetery Erotjum na Lolę, kucharza Cylindrusa na Toma itd., pozostawiając na przykład nazwy miejscowości: Epidamnus, Syrakuzy w brzmieniu i kolorycie oryginalnym.

W sumie, nie jest do końca jasny cel adaptacyjnego zamierzenia w stosunku do dzieła Plauta. Odnosi się wrażenie, że adaptator chciał zbyt wiele, lecz nie mógł się zdecydować do końca na kierunek polemiki z antycznym autorem i jego dziełem.

Jako materiał egaminacyjny z umiejętności dialogowania, sztuka sprawdza się znakomicie, a pan Andrzej Żarnecki prezentuje wysoką klasę pedagoga i reżysera. Powstał spektakl o wartkim nurcie, logiczny i konsekwentny, wykazujący dobry warsztat aktorski studentów III roku.

Wydaje się, że warto pokazać tę wspólną propozycję Plauta, Żarneckiego i studentów na scenie Teatru Szkolnego PWST.

Kacper Sądecki

III Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Ks. J. Popieluszki w zakresie poezji, prozy, literatury wspomnieniowej

Organizatorzy XIII Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w Bydgoszczy ogłaszają trzecią edycję konkursu literackiego o tematyce inspirowanej osobą Patrona, patriotycznej, religijnej.

Maszynopisy utworów dotychczas nie publikowanych i nie nagradzanych, w czterech egzemplarzach (utwory poetyckie - co najmniej 3 wiersze; w przypadku zaś innych form literackich utwory nie przekraczające objętością 1 arkusza autorskiego czyli 22 stron znormalizowanego maszynopisu), opatrzone godłem (inna ko-

perta z tymże godłem winna zawierać - imię, nazwisko i adres autora) należy nadsyłać do dnia 20 września 1994 r. pod adresem:

Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne ul. Gdańska 20, 85-006 Bydgoszcz z dopiskiem na kopercie "Konkurs Literacki"

Konkurs zostanie rozstrzygnięty do dnia 19 października 1994 r. Wręczenie nagród przewiduje się podczas uroczystości związanych z 10-tą rocznicą śmierci Ks. J. Popieluszki w kościele p.w. Świętych Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy.

Laureaci zostaną zaproszeni na koszt organizatorów.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do wykorzystania nagrodzonych utworów w czasie trwania dorocznych Tygodni Kultury Chrześcijańskiej.

Nagrodzone i wyróżnione prace mogą zostać opublikowane w odrębnym wydawnictwie (z należnymi honorariami autorskimi). Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac.

Oryginalna lekcja historii

Impresariat Artystyczny Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku zaprezentował uczniom białostockich szkół podstawowych znakomity program edukacyjny pt. *Walki rycerskie w historii Polski*. Program pomysły jako żywa lekcja historii ukazuje ewolucję stylów walk i uzbrojenia od początków państwa Polskiego, aż po wiek XIX. Impreza trwająca ponad godzinę składa się z sześciu części. Pierwsza obejmuje epokę Piastów, gdzie widzowie zapoznają się z dwoma rodzajami uzbrojenia. Pancerni sięgający do łokci, stożkowy hełm, tarcze, włócznie i metrowy miecz to tzw. uzbrojenie ciężkie. Natomiast piesi wojownicy używający jedynie tarczy i włóczni to przykład uzbrojenia lekkiego. Szeroko wówczas stosowano łuki, proce, oszczepy, topory i maczugi. W połowie dwunastego stulecia mamy już do czynienia z wydłużonym pancernem, sięgającym do połowy łydki i zakrywającym całą rękę.

Pod koniec wieku XIV wchodzi w użycie pierwszy przyłbice z ruchomą zasłoną i płytkowe zbroje, których ciężar przekracza 60 kg. Miecz rycerza osiąga długość do półtora metra. Pojawia się broń palna: ręczna i artyleryjska. W XVI w. Stefan Batory całkowicie unowocześnił polską jazdę. Za jego panowania powstał typ husarza, który przetrwał aż do połowy osiemnastego wieku oraz lekkiego kozaka. W chorągwiach polskich spotyka się coraz częściej wojaków obcego pochodzenia: Serbów, Węgrów, Kozaków. Miecz zastępuje szabla i koncerz.

W wieku XVII król Jan Sobieski ujednolicił piechotę, dając jej i dragonom berdysze (rodzaj halabardy mogącej służyć za podpórkę muszkietu i broń białą). Czasy Sobieskiego to okres zamiatowania szlachty do nad wyraz bogatego zdobienia broni. Nigdzie w Europie nie spotykamy takiego zbytku w złoceńcach, sadzeniu drogimi kamieniami jak w Polsce. Broń często ztraciła swój bojowy charakter i stała się po prostu klejnotem.

Ostatnie ślady zbroi znikają ostatecznie w 1776 r. Husarze i pancerni - najbardziej oryginalna jazda w ówczesnej Europie - zostaje zastąpiona przez kawalerię narodową. Artyleria po stratach z okresu najazdu szwedzkiego za Augusta III uzyskuje poziom zachodnioeuropejski. Piechota na wyposażeniu ma karabin strzałkowy z bagnetem i szpady, później zastąpione tasakiem (rodzaj krótkiej szabli).

W dobie napoleońskiej jazdę polską stanowią ułani, strzelcy konni, husarze, kirasjerzy i szwoleżerowie. Uzbrojenie i krój mundurów różnił jedne formacje od drugich.

Podczas powstań listopadowego i styczniowego uzbrojenie było bardzo różnorodne. Nie dla wszystkich powstańców wystarczyło karabinów, pistoletów, szabli i lanc. Wyposażenie powstańców to często strzelba myśliwska, kosa bądź pika, szabla kowalskiej roboty.

Cale to zbrojowisko, a nadto metody i style posługiwania się nim zaprezentowali 31 maja w hali *Włóknierz* znakomici kaskaderzy filmowi. Po raz pierwszy chyba spotkaliśmy się z tak oryginalnie potraktowaną "lekcją historii".

DL



W Galerii Arsenał

Sny to prezentacja najnowszych, bo powstałych w latach 1992-93 prac znakomitej artystki **Izabelli Gustowskiej**. Prezentacja bardzo rozległa, a jednocześnie skupiona i skupienia wymagająca.

W mrocznych salach jedynym źródłem światła są same prace: lumina-cja monitorów, neon, świetlówka zamknięta w gablocie.

Za światłem zielonym podążam w głąb tajemniczego ogrodu. W gablotach spoczywają śpiące kobiety - osamotnione na posłaniu z trawy i liści za zaparowaną jak od oddechu szybą. Sen czyni z nich postacie nierealne, nienaturalne w swoim uśpieniu - martwocie. Sen przenosi je na granicę życia i śmierci, hibernuje. Izolacji w podświetlonej gablocie nie przełamują nawet klimaty zapamiętanych z dzieciństwa i wielokrotnie prześnionych miejsc tajemniczych, ogrodów z gęstwiną liści, kryjówek, z zapachem gorącego, wilgotnego powietrza.

Światło czerwone przywołuje poczucie zagrożenia. Ciało kobiet przykryte płótnem. Pozornie panuje spokój, lecz nie ma on nic wspólnego z ukojeniem, budzi czujność, że coś się stanie, a może już się wydarzyło...

Światło niebieskie - kobieta zanurzona w wodzie, w półśnie, trwająca. Umowne wnętrza. Zlepek wrażeń, informacji pochodzących spoza naszych doświadczeń, ale przecież znajomych.

Uczestniczymy w umownej rzeczywistości czyjś snu, który przecież nie różni się od naszych marzeń sennych. Rozpoznaję miejsca, wnętrza rozciągają się w nieskończoność, słyszę znajomą melodię nieznacznie zniekształconą przez pozytywkę.

Wystawa jest tak bardzo intymna jak tylko to możliwe przy nieprzekraczaniu koniecznej granicy. Intymna doświadczeniem artystki, kobiet, którym dedykowała swoje prace i każdego z nas, oglądających tę prezentację.

Monika Szewczyk

Biznes test

1. Aby osiągnąć sukces konieczne jest twoim zdaniem:

- a) lizusostwo,
- b) szczęście,
- c) poświęcenie,
- d) entuzjazm.

2. Chcesz wyjechać na dwutygodniowy urlop. Musisz wtedy:

- a) zorganizować go z dużym wyprzedzeniem,
- b) odsunąć na bok niektóre obowiązki zawodowe,
- c) zabrać ze sobą sporo pracy,
- d) odłożyć urlop na bardziej sprzyjający czas.

3. Wyjechałeś na krótki odpoczynek i...

- a) nie można cię nigdzie znaleźć,
- b) przyrzekasz pracownikom, że po przyjeździe na miejsce dasz znać gdzie jesteś,
- c) telefonujesz do firmy przynajmniej raz dziennie aby dowiedzieć się jak idą interesy,
- d) zostawiasz w biurze numer telefonu, pod którym można cię znaleźć.

4. Siedzisz w biurze wieczorem i...

- a) zapominasz o wszystkich sprawach,
- b) zastanawiasz się w samotności nad swoim ciężkim życiem,
- c) telefonujesz do współpracownika aby ustalić pewne sprawy,
- d) rozpatrujesz projekty i ustalasz zadania na jutro.

5. Zwołano zebranie na godzinę, o której masz prywatne spotkanie:

- a) respektujesz zarządzanie jak każde inne,

b) zostajesz na zebraniu, podpisujesz listę obecności, a potem niezauważalnie wychodzisz,

c) telefonujesz, że możesz się trochę spóźnić,

d) decydujesz zostać w biurze do czasu zebrania, aby przygotować się do zabrania głosu.

6. Weekend lub dzień świąteczny dla ciebie:

- a) wytrącenie "z biegu",
- b) możliwość solidnego wypoczynku,
- c) taki sam dzień do pracy jak inne,
- d) moment dla ustalenia nowych zadań i działania w przyszłym tygodniu.

7. Miałeś wyjątkowo ciężki dzień w pracy. Wracasz do domu i...

- a) postanawiasz nie odbierać żadnych telefonów,
- b) prosisz żonę, żeby odbierała tylko prywatne telefony,
- c) odpowiadasz na wszystkie, ale krótko, na szczegóły przyjdzie czas w biurze,
- d) dajesz pierwszeństwo telefonom dotyczącym interesów.

8. Wybrałeś się na kolację wraz z grupą przyjaciół, podczas której:

- a) uczestniczysz w ogólnej konwersacji,
- b) rozmyślasz o biurze,
- c) rozmowa schodzi na interesy,
- d) nie możesz obejść się bez telefonów do firmy.

9. Życie prywatne (dom, miłość, dzieci, podróże) jest dla ciebie:

- a) wszystkim,
- b) sprawą ważniejszą niż twoje interesy,
- c) czasami znaczy mniej niż twoje interesy,
- d) liczy się dopiero po pracy, ale szczególnie za nim nie przepadasz.

10. Sądzis, że dla pomyślnej przyszłości twoich dzieci liczy się:

- a) praktyka w twojej firmie,
- b) odpowiednio wybrany kie-

runek studiów,

c) praca w tzw. wolnym zawodzie,

d) uzyskanie tytułu naukowego w dobrej uczelni.

ROZWIĄZANIE

Sposób punktowania:

- a) - 1 punkt
- b) - 2 punkty
- c) - 3 punkty
- d) - 4 punkty

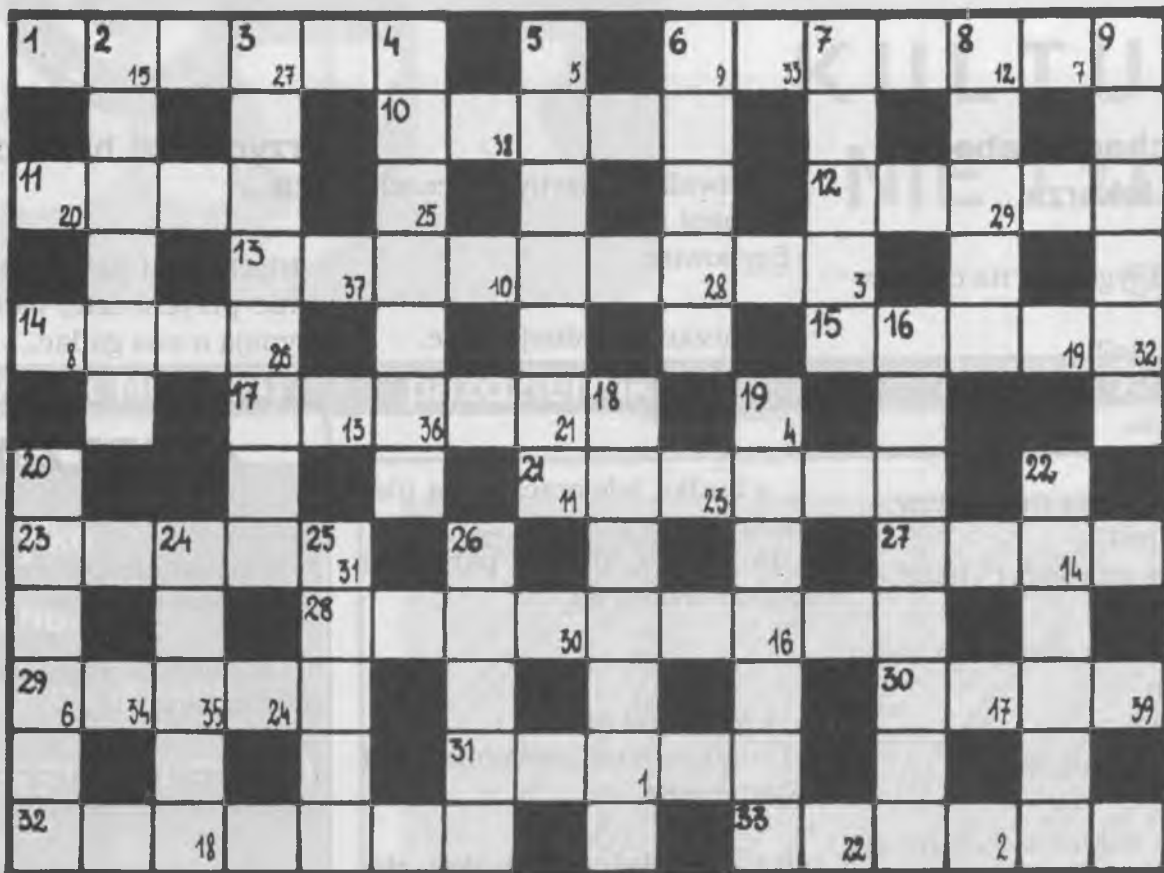
40 punktów. Jeśli zdobyłeś maksymalną ilość punktów masz wszelkie szanse, aby zostać w pełni odpowiedzialnym menedżerem. Praca jest dla ciebie bardzo istotną sprawą w życiu. Nie dążysz do kariery po trupach, ale gotowy jesteś do znacznych poświęceń i wyrzeczeń w życiu osobistym, aby osiągnąć sukces swój i firmy.

30-39 punktów. Można na tobie polegać. Jesteś przywódcą "oddziału szturmowego" firmy. Masz talenty organizatorskie, potrafisz wykazywać się interesującymi inicjatywami. Funkcjonujesz na wysokich obrotach.

20-29 punktów. Nie zawodzisz, ale i nie wybijasz się zbyt. Dobra, pewna posada i miłe stosunki w pracy - to jest to czego ci trzeba. Niechętnie występujesz z jakąś inicjatywą. Najlepiej czujesz się w cieniu innych, bardziej przebojowych i kompetentnych.

10-19 punktów. W życiu zawodowym nie jesteś zbyt ambitny. Przeznaczone są dla ciebie raczej rutynowe zadania i szczerze powiedziawszy będzie lepiej, jeśli zrezygnujesz ze swych ambicji zostania biznesmenem. Jesteś bowiem człowiekiem, który powinien być kierowany, a nie kierować innymi.

K R Z Y Ż Ó W K A



Litery oznaczone w prawym dolnym rogu, uporządkowane od 1 do 39 utworzą rozwiązanie, które wystarczy przesłać na adres redakcji do dnia 15 VII 1994 r.

POZIOMO:

1. ściągnięcie się włókien mięśniowych; 6. kobieta mądra i piękna; 10. zawiadomienie o wysłaniu; 11. Zorba; 12. z klamrą; 13. jadowity pająk południowoeuropejski; 14. imię męskie;

15. bylina wodna o dużych, wonnych kwiatach; 17. największy równoleżnik; 21. część nogi; 23. boczna ściana łodzi; 27. j; 28. knieć; 29. tetanus; 30. 0; 31. rasa psów; 32. autor "Łysej śpiewaczki"; 33. karny lub leczniczy.

PIONOWO:

2. arystokratyczny powóz; 3. ważniejszy od dziekanatu; 4. sportowa lub murarska; 5. słomiany materac; 6. miara względna; 7. królestwo w Himalajach; 8. część paleniska 9. może być ocen albo papieru; 16. łączy mostek z barkiem; 18. ogonek; 19. "... Szkolna" - propagowała oświatę w Polsce XIX/XX w.

20. psoty, dokazywanie, sławole; 22. zwał stos; 24. potrzebny do szaszłyków; 25. przystąpienie; 26. drogi kamień w pierścionku.

Rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru *Styku*: Zegar tyka. Wszystkich. Stanisław J. Lec.

Nagrody książkowe wylosowali:

Jadwiga Ostaszewska z Dąbrowy Białostockiej, Andrzej Podsiadło i Barbara Ciszewska z Białegostoku.

Zapraszamy do Redakcji.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	
20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39

Rozmaitości w anegdocie

Przychodzi baba do lekarza...

... a ten od tygodnia na cmentarzu.

- Co się stało?

- A nic, pan doktor ostatnio leczył się sam.

... z teczką pełną margaryny.

- Co pani jest?

- Głupstwo; Margaret Thatcher.

... z resztkami okrągłego stołu na plecach.

- Co pani?...

- Różnica poglądów.

... - Panie doktorze, coś mi się tam po plecach wałęsa!

- Myli się pani; to oleksy.

... z wielorybem na plecach.

- Co pani dolega?

- A, mam już dość tego ciągłego walenia.

... ze wstrętną ropuchą na głowie

- Co pani jest? - pyta lekarz.

- Jakieś paskudztwo się do mnie przykleiło i łązi ze mną cały dzień - odpowiada żaba.

... z kawałkiem szyby w plecach.

- Co pani jest?

- Szybowiec.

... skacząc na jednej nodze.

- Co pani jest?

- Skakanka.

... z budką telefoniczną na plecach.

- Ho, ho, a któż to pani taki numer wykręcił?

... i włązi pod biurko.

- Długo pani nie pociągnie, pani Wiśniewska.

Przychodzi pół baby do lekarza...

... i płacze.

- Co się stało?

- Sąsiad mnie przerznął.

... z piłą pod pachą.

- Po co to pani?

- Obiecałam sąsiadowi rewizytę.

... i milczy.

- Co pani jest?

- Ba!

Przychodzi baba do lekarza...

- Niech pani już przestanie do mnie przychodzić; ostatnio zachynają o nas gadać...

AFORYZMY

Znamię naszych czasów: nadumieralność ideologii.

* * *

Jak ustalić grupę inwalidztwa duchowego?

* * *

Sytuacje kształtują naród, gdy naród nie dojrzał do sytuacji.

* * *

Stratеды tylko w fetowaniu zwycięstw obchodzą się bez żołnierzy.

* * *

Optyka przewrotna: własny kąć niewidzenia.

* * *

Drapieżni durnie uważają się zawsze za tygrysów intelektu.

* * *

Judasza nie nastraszy bezrobociem. Ma zawsze oczy i uszy pełne roboty.

Zbigniew Waydyk

STYK

REDAGUJE

ZESPÓŁ

W SKŁADZIE

ADRES REDAKCJI

Wojewódzki Ośrodek
Animacji Kultury
15-089 Białystok
ul. Kilińskiego 8
tel. 328-652, 320-724

REDAKTOR NACZELNY

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

ZESPÓŁ

Kazimierz Derkowski
Anna Kowalska
Dorota Lewczuk

PROJEKT OKŁADKI I RYSUNKI

Kazimierz Falkowski

SKŁAD KOMPUTEROWY I ŁAMANIE

Barbara Popławska
Elżbieta Szczurek

DRUK

SOBOLDRUK